

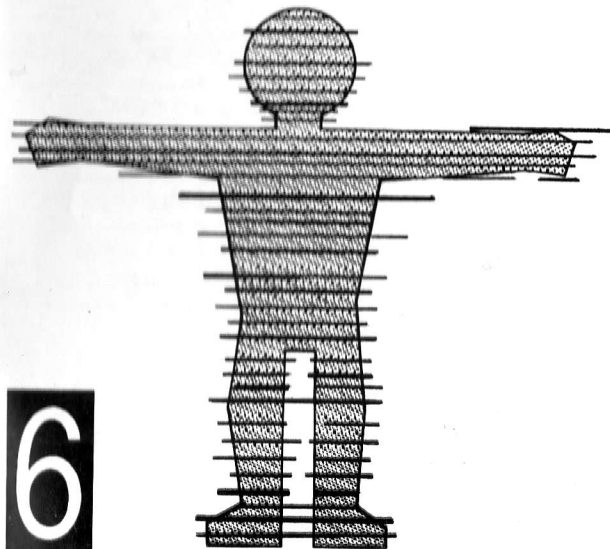
SZTUKA

Index - 377635

Cena - 10.000zł

CSOBOWA

GEST - LITERACKA SZTUKA ZNAKU - ESEJ



6

sześć

NUMER ZAWIERA

5 Janusz Halicki (grafika) - **SACRUM**

6 Słowo Ewangelii - **J 19,26-27**

7 Ks. Mirosław Drzewiecki (poezja) - **NA WYBRZEŻU**

8 Wojciech Izaak Strugała (poezja) - **WIERSZE
MONOPOLOWE O RAFALE
WOJACZKU... XXX**

14 Michael Krüger (poezja) - **RAJ, około 1530, DRONT,
ELEGIA**

22 Jan Wadowski (proza) - **WOŁANIE DUCHÓW c.d.**

41 Ryszard Marek Kędzierski - **PRACE ODRZUCONE...**

43 Jan Wadowski (esej) - **ANTYFILOZOFICZNE CZASY**

47 Jerzy Witold Molicki (esej) - **SŁOWO I OBRAZ**

51 O. Jan M. Bereza (esej) - **CHRZEŚCIJAŃSKA JOGA;
CHRZEŚCIJAŃSKIE ZEN**

59 Ryszard Marek Kędzierski (poezja) - **---**

60 **NOTA AUTORSKA**

62 **VARIA**

SZTUKA

OSOBOWA

PROGRAMOWE PISMO

GEST - LITERACKA SZTUKA ZNAKU - ESEJ

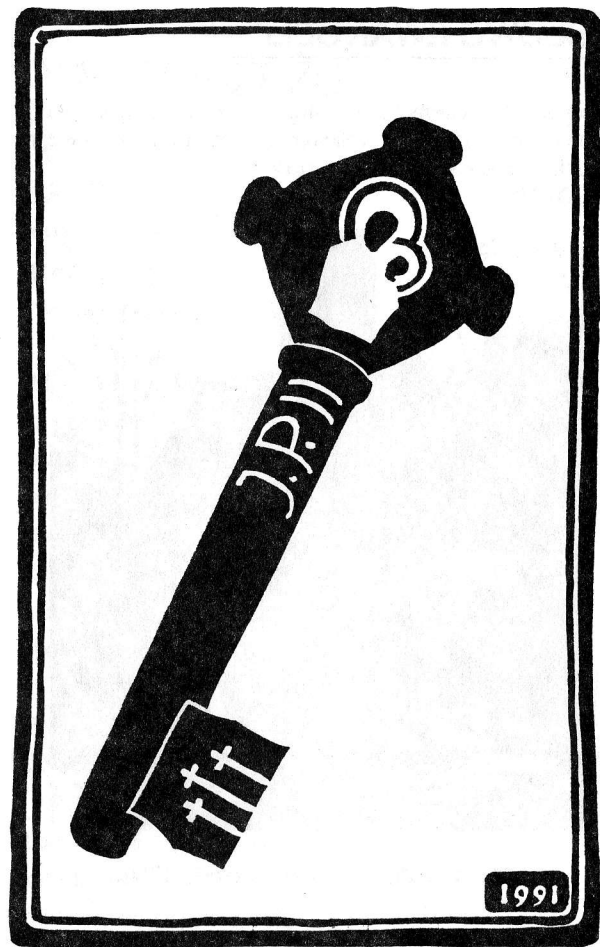
WROCŁAW - 1992 ROK

± MIESIĘCZNIK

WYDAWCA FIRMA: APO

6

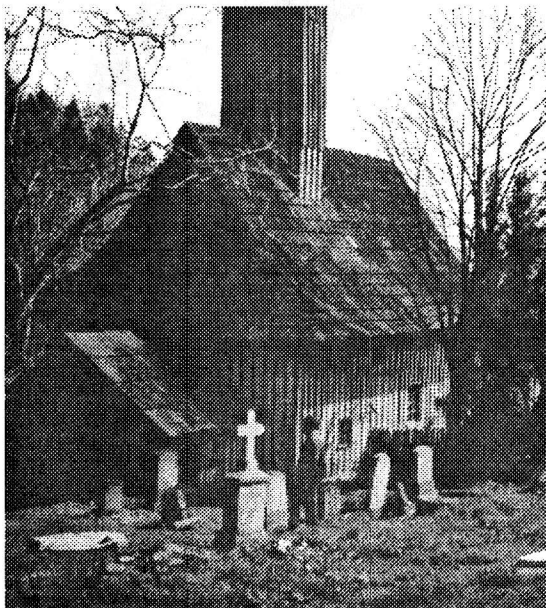
sześć



Janusz Halicki — EXLIBRIS

"Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki: <<Niewiasto, oto syn twój>>. Następnie rzekł do ucznia: <<Oto Matka twoja>>."

(J 19,26-27)



Zalesie, w Ziemi Kłodzkiej - Kościół z 1711r.

NA WYBRZEŻU

Porą zachodnią
gdy cichło morze
słońce niby kometa
położyło złocistą wstęgę
ognia na wodzie

Miotana falami uwieczona
rwie się i scala
a w ruchu tym mogłeś
ułowić złoto-czerwone
duże i małe niby-literę
ku sobie pochyłone
jakby wspierały się
i potrzebowały wzajem

Płynęła a trwała w miejscu
dziwna na fali flaga

Ludzie czytali długo w skupieniu
które krzepło
choć mrok czał się od wschodu

X X X

Świat po walce z aniołem.

Zło nie przeszkadza,
pozwała żyć.

Musimy kursować tą samą ulicą, Drogi Rafale.

Rozumiesz mnie: ja nie pytam
o Most Grunwaldzki,
który przeniósłby nas na drugi brzeg poezji.

Musiałyby się wydarzyć cisza,
która dałaby się opisać
jako błysk nadzmysłowego wiersza.

Czy nie kusimy się tu o niemożliwe?
Wielkie pytania ludzkości
trwają niczym łódź
poruszana blaskiem księżycy.

X X X

Po pierwsze:

Bóg popełnił grzech pierworodny.

Po drugie:

Strugała, jak każdy poeta, lubi przesadać.

Po trzecie:

Poezja woli wisieć niż stać.

Po czwarte:

Trzeba się spać. Jest okazja.

Po piąte:

Jak haftować to po kaszubsku.

Po szóste:

Nie ma co głaskać.

Po siódme:

Noc jest mokra jak palec w kroku.

X X X

Gdy rodziła mnie matka,
ty byłeś zamknięty w innej ubikacji.

Siwa głowa schyliła się nade mną,
ale ty byłeś pijany.
Ogłosiłeś poemat - ostatnią wypowiedź publiczną
w nowym tygodniku dla dziewcząt
i młodych podrzutków.

Róża jest wstrętna w macaniu.

X X X

Trzoda została zapędzona do zagród na Zapolskiej.
Chór Antygony nad moją pościelą.
Bele starych materiałów.

Z okien pociągu wychyla się płochliwa zwierzyna.
Czy to raj ?

Gdzie jest to wszystko ?
Odpowiedz.

Tyś znacznie starszy i bardziej elitarny społecznie.

X X X

To nie ma żadnego znaczenia, kim ty jesteś,
a kim ja jestem.

Mam zwyczaj upijać się,
robić grandy.

Kobiety pokrywać strofami.

X X X

Żeby stworzyć siebie,
trzeba zmusić rozległy świat
do odejścia.

Cofnąć się trochę ze swojego miejsca,
aby powiedzieć:

Życia nie ma.

Wojciech Izaak Strugała

RAJ, około 1530

Nie ocalą się:

ani przez perespektywę,

ani przez welon,

ani przez nagość.

W środku obrazu mieszka

jedno wyludnione serce

wśród tłoczących się spojrzeń

zwierząt. Komu trzeba się

ofiarować? W ramach gnieźdzą się

ptaki, cierpliwie czekają

na swój występ, wstrzymując oddech

ryba

wypatruje anioła.

Raj jest okrągły

i bez granic: światło

w głębi nie zna

ni źródła, ni obiektu.

Obojętna dla siebie samej

jaśniej droga

do lasu, gdzie marznąć
uspokaja się pod mchem.

Tutaj jest to miejsce,
któregośmy szukali zbyt długo.

Tutaj mieszka doświadczenie,
nienawiść, wyrachowanie.

Tutaj jest zwierciadło tego
co przyszłość
zwyczajnemu aniołowi
wyjęła z dłoni.

Smutni ludzie, mówi się,
opuścili ten obraz, kiwając,
nadzy, na zapóźnione zwierzęta.

Uśmiechali się w pułapce
pokusy. Ich śmiech, mówi się,
rozlegał się w kręgu tego obrazu,
i pozwalał szkłu,
które chroniło ten raj,
bardzo cicho, jednak wyraźnie brzęczeć.

DRONT

1

Ani jajek, ani potomstwa.
Tylko głowa egzystuje i dwie nogi,
czternaście tupnięć,
tufy, lawy bazaltowe
i popioły dotykały
i nosiły jedno ciało,
które na zawsze wydaje się stracone.

2

Dodo, dudu, didus ineptus,
ten dront znalazł schronienie
pod szklanym kloszem
w muzeum w Senkebergu.
Co oglądamy,
może być prawdą:
szary i zakurzony puch, który
drży przy każdym uderzeniu serca.

3

Kiedy odchodzimy daleko,
granica staje się dziurawa:
głos ptaka stąd aż tam,
i do ognia

cichy i ludzki głos,
tak jak chciałby wiatr:
musisz się zdecydować.

4

Do nas będą należały następne
stulecia: cierpliwie usiadziemy
pod zakurzonym szklanym kloszem,
nagie preparaty, głowa i noga,
kierowani i prowadzeni.
Co odkryliśmy, znikło
jak koncepcje całości.
A odkryliśmy wiele.

5

Jak pismo,
które samo się wymazuje;
jak mroczne wzruszenie
pod nocnym niebem,
jak ostatni dzień nad wodą.
tego ptaka nikt już nie
widział od 1620 roku.

6

Państwo słońca i Wojna Trzydziestoletnia.
O potrójnym życiu ludzi,

problemy wyżywienia.
 Dront z historii przeniósł się
 w milczenie, nie potrafił
 latać. Tylko jego imię
 uratowało się przed czasem i śmiercią,
 jego przyszłymi wrogami;
 i jedna głowa i dwie nogi.

7

(W Berlinie miał
 wisieć obraz tego ptaka,
 o którym sobie nikt nie przypomina;
 parę starych opisów
 wzmiankuje o jego gorzkim mięsie.)

8

Wymierzone morze,
 przestrzeń wyczerpana,
 tęsknota rozdarta
 przez brutalne poznanie.
 więc Bogowie stali się widzialni
 i umknęli
 na zawsze.

9

Dront jest ptakiem miłości,

śni sobie o ciele
 i potężnych skrzydłach,
 już siedzi na moim ramieniu
 i mówi.

10

My nie wiemy,
 co do nas należy naprawdę.
 Łopot skrzydeł, jakiś rysunek
 z natury w pewnej starej księdze.
 Jedno słowo,
 zamknięte w kamieniu,
 a kamień pod kurzem
 w czerwonej warstwie gliny.

11

Ten ptak zachowuje
 wspomnienie, widzi to,
 co my już zaledwie dostrzegamy,
 spowici w oczekiwanie,
 które spełnia się tylko raz.

12

Cała przestrzeń
 mówi o nim,
 to cała tajemnica.

ELEGIA

Balcano. Błogostawiona dolina:
nie ma słowa, które pozwoliłoby mi
na wstęp. Człapanie
mówi się wokół poza
górami, że historia
pyta o drogę.

Powietrze, powietrze. Tutaj
oczekiwałeś mnie, o dzień za późno?
Twoja świetna, niebieska koszula,
jasne spodnie. Co dzieje się
z dłonią twą, która nie
może mnie pozdrowić?

Śnieg leży na twoich włosach,
nie pozwala mi ciebie ogrzać.
Czyż to jest twój obraz?
Czas wymienił twoje
ciało. Jako obcy jesteś mi
najlepszym przyjacielem.

Musisz znowu przybyć
do Niemiec, Ojczy,
na moją stronę, gdzie nie
mówi się o śmierci.
Uśmiechasz się? Twoje otwarte usta

podejrzewają mnie. Zbyt późno.

Jakiż ty jesteś mały! Przecież
człowiek rośnie w śmierci
jeszcze o kawałek, tak jak
w nas rośnie teraz śmierć:
nieposzlakowany świadek
z wielkim poważaniem przed sądem.

Paszport sfalszowany. Szybko,
daj swoje życie, żeby umknąć
każdemu nekrologowi. Dwa ptaki
strzegą granicy. I pod
czarnym ciałem chmur
powrócisz do nas skrycie.

Wreszcie ziemia. Wreszcie
piasek w Berlinie, tutaj wolno ci
skonać. Nałożysz sobie śmierć
jak płaszcz wokół spopielonego serca -
i dasz sobie wolność i zamilknieś:
albowiem każda odpowiedź byłaby pytaniem.

Michael Krüger

Z niemieckiego przełożył Andrzej Pańta

c.d.

7. Śmieszność

Kiedy ludziom pomieszały się języki, poszli w różne strony świata, zaludniając w ten sposób całą Ziemię. Kłótnia stała się przyczyną powiększenia powierzchni życiowej człowieka. Czy tak samo, lub podobnie, nie mogło być w wypadku zamieszkania kosmosu? Przecież wieża Babel powtarza się raz po raz pośród ludzi. Czy nie dziw, że zdarzają się niekiedy między nimi tacy, którzy uciekają spomiędzy tego pomieszanego? Którzy uważają, że nie chodzi tylko o wiedzę, władzę, zalew informacji, technologię, technikę, czy inne cuda, ale na przykład o śmieszność, staromodną mądrość? Czasem John marzył sobie, aby wreszcie poszukać czegoś trwałego, czegoś co nasyci zgłodniałego ludzkiego ducha co zaspokoi wieczną udrękę i gonitwę, co można właśnie tak nazwać. Mądrość, która w niewielkim stopniu czerpie ze zdobyczy nauk przyrodniczych, owszem, imponujących skutecznością, i właśnie dlatego zbyt niebezpiecznych dla ludzi. I mówił sobie niekiedy: "Dość mam tych wszystkich specjalizacji, dość dzierżawienia zdrowia i marnowania czasu nad jakąś komórką dla "ludzkości" czy też entuzjazmowania się wszechwolnością. Gdybyście mi pokazali Boga (albo Pustkę) spoza owych zabawek widzialnego, to jeszcze. Ale wy przedstawiacie mi tylko przygnębiającą, zgnubną w skutkach, dumę nieszczęsnego stworzenia, które szamocze się jak mysz w klatce, lecz nadal uparcie uważa siebie za Pana stworzenia". I chwilami miał odczucie, że wszystkie te nauki, techniki i inne zabawki prędzej czy później przejdą się ludziom, ponieważ nigdy nie zaspokoją ich pragnień, a przez to rozczarują. "Nic na tym świecie nas nie zaspokoi, dlaczego więc nie szukać przynajmniej mądrości, która ukoiłaby ból?" To śmieszne, prawda? Czy cywilizacja, która ośmieszyla zajmowanie się rzeczami zasadniczymi i ostatecznymi,

skazuje siebie na zagładę czy też nie? Któż próbuje naprawdę przedrzeć się przez zasłonę postawioną przed naszymi oczami? Śmieszne i anachroniczne jest wszystko, co podstawowe i co usiłuje ominąć, stare jak świat, drogi ludzkiej słabości. Z bólem serca trzeba stwierdzić, że John Ogórek, jak zdążyliśmy już to zauważyć, był zawsze bardzo śmiesznym człowiekiem. Może i z tej przyczyny, mając dość wszystkiego, również ucieczki w fantazjowanie, postanowił wykorzystać sytuację i jak najrychlej opuścić niegościnną matkę - Ziemię. Co za romantyczna wycieczka w towarzystwie uwielbianej kobiety! Ale czy można inaczej, kiedy jest się stuprocentowym naiwniakiem nie umiejącym korzystać z życia? W tych warunkach i pośród tych ludzi nie wyobrażał sobie osiągnięcia czegoś więcej ponad to, co zdobył. No bo jak, kiedy nie można niemal uniknąć sytuacji czy chwili, w której nie byłoby się atakowanym już nie wodospadem, ale lawiną, oceanem informacji, wydarzeń, przeżyć, których ludzie wciąż tak są spragnieni. Miał tego dosyć, prędzej czy później przecież system ulegnie przeciążeniu i szlag go trafi. Dawniej ludzie uciekali na pustynię, ale to było dla niego za mało. Człowiekowi potrzebna jest jakaś ostateczność, nie monotonia wyczerpującej bieganiny. Dość miał też tego bezustannego fantazjowania. Zresztą, jeśli uważniej popatrzeć to da się zauważyć, że ludzie są wymęczeni, wyrugowani w dużym stopniu z człowieczeństwa, zdezorientowani, nie mogący odnaleźć zagubionej tożsamości. A wszystko to zawdzięczali "błogosławieństwu" nauki i techniki. Zaczynał traktować je przynajmniej z nieufnością, coraz mocniej przekonując się, że są rzeczy o wiele ważniejsze. Czy "królowa" nauka pomogła dojść do Istoty? Nie bardzo. Na setki, jeśli nie na tysiąclecia, oddaliła ją, a przecież człowiek szuka tylko Sedna. A więc terasz opuści skołataną Ziemię w poszukiwaniu kamienia filozoficznego czy Prazasady? Don Kichotek, który szuka tajemnicy tajemnic atakując kopią wiatraki. Czy chce czy nie musi być biedaczyna poważny, tylko wystyd mu to ujawniać teraz, bo ludzie przestali lubić wszelką powagę.

Fakt, każdy chciałby poznać tajemnicę, tylko nie ma na to dość siły i okrucieństwa. Lepiej przecież żyć wygodnie. A ten, kto idzie szukać, jest śmieszny i tyle. I śmieszność, czy obawa przed nią zatrzymywała zawsze skutecznie. Wszyscy kłaniają się Pani Śmieszności, wszyscy przed nią drżą! Jakie to śmieszne. Każdy wdziewa odpowiednią maskę, aby tylko nikt nie podpatrzył jego komizmu. Nawet ten, który się wygłupia nie czyni tego po to, aby na zawsze zostać błaznem. Cała komedia polega na tym, aby udawać, że nikt nie boi się Pani Śmieszności. Traktując ją obojętnie, robić swoje. Dlatego przestraszyli się powagi, która zbyt często wygląda jak koza na wyszcigach konnych. Ale jemu, Johnowi Ogórkowi, można. Miał jedną właściwość czyniącą go jeszcze bardziej śmiesznym niż był naprawdę - nie zauważał swojej śmieszności; to, co robił, robił najzupełniej poważnie. W tym dziwnym świecie może najsensowniejsze jest oddawanie się niedoręcznościom. Wiemy z doświadczenia, że takie czy inne bzdury mogą niespodziewanie nabrać podstawowego znaczenia.

Przez dwa tygodnie, podobnie jak poprzednio, starannie unikał Oli. Był zbyt szczęśliwy, jeśli tylko duże dziecko potrafi być szczęśliwe pośród dorosłych. Nadmiar szczęścia zawsze paraliżuje, podobnie zresztą jak odwrotnie. Ludzie jednak są zmyślni i wykombinowali coś innego: wielkość. Jest to próba szczęścia bez oddania się czemuś lub komuś, czyli po prostu zwykłe zakłamanie. Jedni czynią siebie wielkimi, a drudzy - pragnąc tego samego, wpatrują się w nich.

Przez te wszystkie lata miał poczucie skłamanego życia. Coraz boleśniej zdawał sobie sprawę, że przyczyna tego faktu tkwi w stylu narzuconym przez cywilizację będącą w głębokim impasie. Bardzo długo, nie będąc tego świadomym, zachowywał się jak przestraszony ptak w klatce. Szukał ukojenia we wszystkim, co rokowało choćby niewielką nadzieję na to, że jest "normalnym, zdrowym jedzeniem". Miał wrażenie, że został oszukany, i to na każdym odcinku. Odbierano mu jego życie, nic w zamian nie dając prócz paru świecidełek, na które dał się nabrać. Zabito w nim nawet

samo pojęcie szczęścia i nie wierzył już, aby mogło ono gdzieś istnieć. Dlatego go tak "odrzucano" od Oleandry. Tylko chwilami, gdy czasem spotykał rzeczywistych ludzi, przez pokłady samooszukiwanych pojęć przebijała utajona gdzieś w głębi rozpacz, a w niej, znowu bardzo rzadko, dochodziło do bardzo bolesnego pęknięcia (wrzód!), a przez nie do nieuchronnego duszka wlewała się fala niespodziewanego i niewyobrażalnego światła; odrzucał je zarazem ze wstrętem, "przywołując siebie do porządku". Należał do takich ludzi, którym choćby długa perswazja nie ujawniłaby ich stanu. I nawet gdyby ktoś próbował wyrwać im ich nieszczęście, bronić się rękami i nogami. Nie, zawodowe fantazjowanie nie dało mu spełnienia.

Śmieszność w tym wszystkim jest nieunikniona. Śmieszność jest wręcz nie odłączna w wypadku biednego, nieszczęśliwego człowieka. Śmiesznym jest sam fakt jego mikronowego istnienia, które wciąż jeszcze uważa się za tak ważne. Fakt, śmieszność ta, z jego punktu widzenia, jest dramatyczna. Tymczasem wszechświat śmie mieć o tym trochę inne zdanie. On, ten mikrus, zawsze o tej tragiczności. Ale czy to świadczy o jakiegokolwiek jego wyższości nad przyrodą? Kto mu dał prawo do twierdzenia, że przez swoje myślenie jest nie tylko czymś lepszym od wszystkiego, ale w dodatku wyjątkowym, szczególnym, przed którym cały kosmos musi się kłaniać? Czy nie jest to tak, jak w tej bajce o pchle i stoniu? Ze złotego zęba stonia spadła okruszyna kruszczu. Okruszynę tą znalazła pchła i z miejsca uznała się za lepszą od wszystkiego, także oczywiście od samego stonia. Byłoby tak, że człowieczek otrzymał dziesiątą wodę po kisieli i z tego się szczyci.

Do duszyczki Johna wkraść się podczas tych rozważań strach. A co będzie jak odnajdą kurę od tego jajka? Odkrycie pierza z tej kury byłoby już wstrząsem. A cóż dopiero cała kura!

Z dwojga złego wołał jednak uciekać niż gnić w odchodach, które szumnie określano "ludzkością", "gatunkiem ludzkim"

itd. Ludzie co prawda chronili jego życie, ale na tym przestało mu zależeć. Zmarniało przecież zupełnie pośród zadufanych. Ludzie wszystko tak już poplątali, że jedynym wyjściem, jakie pozostało, jest przecięcie węzła i wydostanie się z kokona. To ciekawe, że są tacy, którzy, będąc do gruntu ludźmi, zawsze marzą o ucieczce od swoich braci. Może to nie egoizm, ale właśnie z miłości do nich, aby nie zostać przesiąkniętym jeśli nie nienawiścią, to przynajmniej wstrętem. Sam John nie mógł się rozeznaczyć, czy były to wszystkie powody, dla których taką ochotą zapalał do swojej wyprawy, chociaż fizycznie, a niejednokrotnie też merytorycznie, nie był do niej w ogóle predysponowany. Najważniejszym oczywiście była perspektywa przebywania tam z Nią... W najśmielszych marzeniach, a przecież był w tym zawodowcem, nie przypuszczał, że będzie kochał i z tym kogo kocha opuści niezbyt życzliwą Ziemię. Przygotowywał wszystko dla Niej, do tego stopnia, że zapomniał, aby ją o tym powiadomić. Poza tym była teraz dla niego Bóstwem, a jak wiadomo wierny nie może bez przerwy obcować ze swoim Bogiem, ponieważ wtedy Bóg ten byłby zbyt pospolicie, zbyt codzienny. Bóg może być tylko odświeżony. Nigdy nie była dumna. Zawsze zajmowała się tym, co posuwało naprzód sprawę. Także i teraz, jak to wyczuł, zaśpiewała nie z nudów czy z ciekawości, ale w konkretnej sprawie. Zaczęła od treningów, które sobie zlekceważył, nie mówiąc już o badaniach lekarskich. Krzyknęła wreszcie:

- Człowieku zstąp na ziemię!
- Chciałbym jak najszybciej z niej wystąpić.
- Aby to zrobić, musisz najpierw przejść przez jej błoto.

W tej chwili przyszła mu do głowy myśl - zawsze miał niestosowne myśli w nieodpowiednim momencie - że idea ciągłego zdobywania szczytów, aby wreszcie przebić się przez pułap życia i śmierci, aby dostać się do jakiejś nadmierzłowej i nadintelektualnej sfery jest może tylko wytworem ludzi a z drugiej strony jak bardzo jest nieludzka. Nawet coś takiego jak miłość do drugiego człowieka, to też ma cechy nieludzkości. Upokarza tego, który jest kochany jeśli jest

zbyt pewna siebie, albo też upokarza kochającego, który będzie do ostatka konsekwentny w swojej miłości. Faktem jest, że ludzie zawsze pozostawiali sobie jakąś furtkę z niej... Zatrwożył się, czy na dnie w jego miłości nie tkwi zaczajona jakaś niegodziwość. Każda szlachetność leży przecież w cieniu podłości.

Wszystkie te myśli przebiegły mu przez głowę w ułamku sekundy, ale bystra Oleandra spostrzegła coś.

- Boisz się?

- Nie wiem.

- Słuchaj, na jutro załatwiasz sobie zwolnienie w celu treningów i zabieram Ciebie. Badania lekarskie konieczne zrób dzisiaj...

- Ale...

- Żadnego ale! Coś Ty taki ciastowaty? W ten sposób nigdy nie zrealizujesz tego, co chcesz.

- No dobrze. Dziękuję. Gdyby nie Ty...

- Dobra, dobra, oszczędź sobie tego. Weź się w garść i do roboty. Pamiętaj, że musisz być doskonale przygotowany, inaczej Cię nie puszczą, a wtedy kłapa.

Zaczął się śmiać.

- Kto tu kogo przyjmuje...

- Bo Ty opuszczasz ręce i czekasz aż cały świat robi Ci łaskę...

- Tak, chyba tak. No to już lecę na te badania.

- No to cześć, do zobaczenia.

- Cześć... Olea!

- Słucham.

- Nie, nic. Już nic.

- Jutro czekam na Ciebie na kortach.

Długo trwała ciężka przeprawa przez sztab lekarzy i arsenał aparatury. Po wielu konsultacjach, które trwały aż do późnego wieczora, zgodzili się, ale pod wieloma warunkami. Między innymi, miał być wielokrotnie badany, znacznie poprawić swoją kondycję i siłę mięśniową, schudnąć, stosować dietę...

Pierwszy raz w życiu miał szczęście przy tej wyprawie.

Przypisywał to znajomości z tą energiczną kobietą. Kiedy następnego dnia z drżeniem serca stawiał się o świcie na kortach, bez sentymentów wyciskała z niego wszystkie możliwe poty. Aż się przestraszył jej siły, chociaż w tych czasach niczym dziwnym jest większa siła fizyczna i wytrzymałość kobiet niż mężczyzny. Po kilku tygodniach bez większego zmęczenia pokonywał dystans 3-4 kilometrów. Równocześnie oboje poznawali się coraz lepiej. Częściowo oswoił się już z jej urodą i wdziękiem, chociaż codziennie na nowo wpadał w cielący zachwyt; widział też coraz więcej "zalet serca" dziewczyny, chociaż dość powierzchownie, jako że nie miał za sobą zbyt wielu doświadczeń w zakresie badania ludzkiego wnętrza. Bardzo chciał poznać ją jak najlepiej, ale szło mu to jak z kamienia. Były chwile, kiedy zapominał o sobie, o swojej zakompleksionej naturze i na moment stawał się normalnym człowiekiem, mężczyzną, równorzędnym partnerem jej radości i młodości. Jak się odejdzie od życia, to potem trudno do niego powrócić.

Leżeli kiedyś na piasku plaży. Nie bardzo wiedział jak naprowadzić rozmowę na sprawy jego interesujące; bardzo chciał wiedzieć, co ona o nich myśli. Jako fantazjoner materiały do swoich pomysłów czerpał z wszelkich możliwych źródeł, z najrozmaitszych starych manuskryptów, z Biblii i jej podobnych jak Mahabharata, Tao te-king, Gilgamesz, Bhagavad-gita i tak dalej. Często czerpał z rzeczy najbardziej bezsensownych, jak śmietniki - taki właśnie śmieszny człowiek blakający się niby kura to tu, to tam. Rozmawiali o wyprawie i jej problemach, trudnościach, często głupich przeszkodach, z którymi zmuszeni byli walczyć (od niedawna pomagała mu w tym, to znaczy przejęła większość kłopotów). Potem zeszli na ludzi, jacy są, ile rzucają im kłód pod nogi, wyliczali tych nielicznych, którzy im pomogli. Wspominał romantyczne czasy, jak zwykle u niego ni w pięć, ni w pięćdziesiąt:

- Dawniej, kiedy ludzie mieli jeszcze los i zdarzały się na ziemi przypadki, była miłość. Mężczyźni i kobiety kochali się, nikt im tego nie zabraniał. Fakt, było to wielkie nieszczęście

ludzkości, bardzo często owa miłość łamała im życie albo nawet skłaniała do nienawiści. Na wpół zwierzęce namiętności. Słusznie chyba przestała istnieć, jak wszystkie skrajności zagrażające gatunkowi ludzkiemu.

- Zaraz, zaraz - Podniosła się na ramieniu - Przecież Ty sam odważyłeś się powiedzieć o miłości między parą członków załogi...

- Tak, ale dobrze wiem, że to jest nierealne i niepotrzebne. A gdyby tak zapalali do siebie nienawiścią? Tutaj obowiązki, a on za nią lata z siekierą po rakiemie; albo też ona goni go z laserowym miotaczem w ręce. Kobiety zawsze są wymowniejsze.

- Tak uważasz?

- Czekaj, opowiem ci pewną historię z dawnych czasów. Ponarzekał miś sobie, to teraz wróćmy na chwilę do złotego XXtego wieku.

- Dlaczego akurat z tego?

- No, ten mi przyszedł do głowy. Wiesz, to taki zakręt...

- Aha. No, słucham?

- Była sobie cud dziewczyna. Buziuchna, oczka, nosek, usteczka, piersiatka, nóżki, bioderka... ta...ta...

- Talia

- A właśnie, talia..., no w ogóle, wiesz... Przepiękna.

- Tak

- Żył w pięknym słonecznym mieście, beztroska, wesoła... a jednak, gdzieś tam podskórnie, coś ją gryzło...

- Może jakiś robak?

- Och, nie. Zauważali to nieliczni z jej tak zacnych przyjaciół. Bardzo romantyczna.

- Jaka?

- No, romantyczna.

- Była chora?

- Nie, to taka postawa. O, widzisz, morze, fale, słońce, nastrój, wzruszenie...

- Co?

- No, wzruszenie, czyli takie wewnętrzne poruszenie; płaczesz, tęsknisz, marzysz...

- Aha. Ale do czego to jest?
- Do niczego. To taka postawa, nic więcej.
- To po co to?
- Ale tak było, tacy byli wtedy ludzie. No przecież uczyłeś się o tym.
- Dobrze i co dalej?
- W związku z tą swoją postawą, bardzo pragnęła miłości. Ciągłe poszukiwała swojego chłopca. Poznała wielu, ale żaden jej nie odpowiadał.
- W każdym razie było coś "nie tak".
- Aż wreszcie, pewnego dnia, poznała takiego jednego.
- Niepozorny, cichy, mało mówny, żadnego cwaniactwa.
- Czego?
- Cwaniactwa. Nie wiesz co to jest? Cwaniak to taki człowiek, który nie ma skrupułów.
- Nie rozumiem.
- No, wszystko robi bardzo przebiegle. Jest pewny siebie, oszukuje...
- Aha.
- W towarzystwie spotykała go dość często, ale był jej całkiem obojętny. Nie zносиła gapiszonów...
- Kogo?
- No takich nieporadnych. Poza tym zachowywał się trochę podejrzanie, jakby był zboczeńcem.
- Zboczeńcem. Zboczył z dróg, po których chodzi większość ludzi.
- A zboczył?
- Nie. Tylko tak się zachowywał, że można było przypuścić, że zrobił to.
- Aha.
- Po roku czy dwóch rzucił się jej do stóp. Powiedziała mu, żeby się odkochał.
- I zrobił to?
- Aleś Ty niecierpliwa. Poczekaj. Zwróć uwagę, że on, nieśmiały, strachliwy, rzuca się jej pod nogi!
- Tak, rzeczywiście.

- Mineły jeszcze trzy czy cztery lata. Nie znalazła nikogo a nie mogła już bez mężczyzny.
- Dziwne.
- Nie wszystkie są takie zimne jak Ty.
- To ma być wyrzut?
- Nie. Ale słuchaj dalej. Nie chodziło to tylko o sprawy fizyczne, one były mniej ważne. Potrzebowała mężczyzny jak powietrza i pokarmu. Coraz więcej rozmawiała z tym "zboczeńcem".
- I co, też zboczyła?
- Zawsze jesteś taka niecierpliwa.
- Nie, tylko to już za długo trwa.
- Już kończę. Odkryła, że jest dobry, prawy...
- Jaki?
- No, szlachetny, uczciwy... Chętnie pomagał innym nie myśleć o sobie.
- Zakochała się?
- Tak. Przyszła do niego. On natomiast nie wiedział, czy ją jeszcze kocha.
- Już nie wiedział?
- Nie. I to był początek końca. Ich związek trwał parę lat. Znudziła mu się i zwiął.
- Uciekł?
- Tak. To fragment biografii człowieka, który pierwszy opuścił nasz układ.
- Johna Potworka!?
- Tak.
- Ciekawe.
- Potem unikał kobiet jak wściekłych gwiazd.
- Pomyślała.
- Z przyjemnością patrzył na jej kształtną, zamysloną główkę.
- A Ty?
- Co ja.
- Ty od czego uciekasz?
- Nie można mnie, małego Johna, porównać z wielkim Johnem.
- Ale od czegoś też uciekasz, wiem o tym?

- Możliwe.
- Pomyślał.
- Patrzyła na niego z uwagą.
- A Ty?
- Co?
- A Ty dokąd pędzisz?
- Albo dwa pytania, albo dwie odpowiedzi.
- Uciekam... Znużyli mnie ludzie. Duszę się tu.
- Wszyscy?
- Nie.
- A kto Ciebie nie znużył.
- Teraz Ty odpowiadasz.
- Zawsze lubiłam ryzyko, chcę szukać niemożliwego... Wystarczy?
- Tak sobie.
- Teraz Ty.
- Jeszcze Pytanie dla Ciebie.
- Tak?
- Czy Ty kiedykolwiek kochałaś?
- Co? Nie, nigdy. Ale zaraz! Teraz Twoja odpowiedź! Ta bestia mnie zaskoczyła! - Zaśmiała się.
- Kto mnie nie znużył?
- Tak.
- Nie obrazisz się jak powiem?
- Nie.
- Ty.

Była delikatna.

Odwrociła głowę z cieniem uśmiechu. Wiedział, że teraz już nie będą rozmawiać. Zarządziła szybko trening, w czasie którego wyjątkowo go wymęczyła. Aż śmiał się z radości, że dzięki niej bolą go ręce i nogi.

8. Doświadczenie Ogórka

Czy można przeskakiwać czas a z nim przestrzeń? Oczywiście, jest to śmieszne przypuszczenie, ale teoretycznie, jak wszystko, i to jest możliwe i wielu myślało o tym od dawna. Od poczęcia do ostatniej kropli rozkładu człowiek jest poddany czasowi, nigdy jednak nie przestała nurtować

go myśl, że z tej niszy musi być jakieś wyjście. Od początku istnienia usiłował jakoś "zaczarować" czas, coś, że to nie wychodziło? Wszyscy próbowali zawsze jakoś mu się przeciwstawić, choćby przez skrócenie swojego życia, a często za pośrednictwem śmiesznej próżności, "zostawić coś po sobie": przy czym nieistotne było to, że krótszym lub dłuższym upływie tegoż czasu zapominano o takim "utrwalaczu" skutecznie, do końca. Zresztą, pamięć jest też po to, aby zapominać.

Człowiek posiada - myślał sobie Johnek - ciało materialne i jemu zawdzięcza przebywanie w czasie. Lecz jeśli tenże człowiek posiada mimo wszystko owego tajemniczego ducha, znaczy to, że tu jest szansa na przewycięzenie, choćby "chwilowe", owej niszy. Cała kultura przecież jest taką próbą wydobywania się z czasu przez łufek ducha. Od dawna słyszał o eksperymentalnych próbach oddzielenia ducha od ciała. W dawnych czasach zdarzały się jednostki, które tego zaszły, albo nawet same potrafiły to uczynić. Za pomocą odpowiednich operacji laserowo - elektrycznych i innych doprowadzano ochotnika do stanu dawniej zwanego śmiercią kliniczną" lub jemu podobnego. "Wydobywano" w ten sposób ducha z człowieka, który wędrował sobie poza, a raczej ponad, czasem i przestrzenią. Wymiar, w którym ów duch się znajdował, nazywano "przyległym do czasu" a potocznie "przyczasem"¹⁹. Z czasem osiągnęto coraz lepsze wyniki; kontrola nad "wsadem duchowym" ograniczyła się, jak do tej pory, do kilkunastu metrów wokół delikwenta, czyli pacjenta. Oczywiście umiano go tylko zlokalizować, nie znano jego "wewnętrznych" treści. "Goły" duch najdłużej poza ciałem przebywał przez kilka, a raz nawet kilkanaście miesięcy. W tym czasie, wyzbyty czasu i przestrzeni wędrował niemal gdzie chciał, było to bardzo zindywidualizowane (w ogóle świat duchów okazał się światem o wiele większego indywidualizmu niż ziemski). Byli i tacy, którzy twierdzili, że odbyli wycieczkę nie tylko do jakiegoś kraju gdzieś we wszechświecie, ale w głąb "innego świata". Rosły biblioteki relacji "stamtąd", którego nie bardzo można było określić

gdzie i jakie to jest. Język, a za nim ludzkie pojmowanie, niewiele jeszcze umiały powiedzieć o tym "innym świecie". W miarę upływu dziesiątków lat wytworzono kilka generacji miniaturyzujących się, urządzeń do wytwarzania stanu "rozłupanego orzecha"²⁰. Przykładowo: Znajomi kogoś otrzymywali wiadomość, że w takim a takim przedziale Pan taki a taki będzie nieobecny u siebie pod sufitem, prosi o wywietrzenie mieszkania, podlanie kwiatków, odebranie mleka, sprawdzenie czy wszystko w porządku. Niejednokrotnie nie urządza fizycznych wycieczek do obcych krajów czy na inne kontynenty, ale po prostu "rozłupywano się" zwiędziano w ten sposób świat bez najmniejszych kosztów (co najwyżej zdrowotnych na skutek niedoskonałości "orzecha"). Żadnych kłopotów z paszportami, aprowizacją itd. Kłopot mógł być tylko z przewodnikiem czy ze spróbowaniem jakiejś egzotycznej potrawy. Czasem dwoje zakochanych ludzi, aby nikt ich nie widział, (nie ze wstydu, ale dla odzyskania utraconego poczucia tajemnicy lub z obawy przed represjami za miłość) wybierało się na bezcielesną randkę "po drugiej stronie". Chorzy odbywali niejednokrotnie rekonwalescencję "tam", ponieważ stwierdzono zdrowotny wpływ krótkiego czasowo-przestrzennie "przejścia". Zdarzali się jednak osobnicy lub osobniczki jakby "uczuleni" i po kilku lub kilkunastu "wycieczkach" nie mogli więcej eksperymentować nie narażając zdrowia i życia, zmuszeni pozostać w konwencjonalnej egzystencji. Zdarzali się też uciekinierzy, którzy z jakiś powodów pozostawiali swoje ciało na Ziemi i "dawali nogę" za granicę tego świata. Z rejonów dotkniętych jakimiś klęskami czy kryzysami uciekały nawet setki tysięcy osób. Czyżby poszukiwacze lepszego, wyzwolonego życia? Niestety, nowy wynalazek sprowadził wiele różnych nieszczęść na ludzi. Powstał cały przemysł, którego znakiem został rozłupany orzech, cała sieć zakładów usługowych proponujących najrozmaitsze sposoby "wyzwolenia" z ciała, z orgazmem włącznie. Tylko najbogatsi mogli pozwolić sobie na własne superwyprowadzanie, wielu też stało się

narkomanami uzależnionymi od nowej używki. Ponieważ jednak wszystko to było dość prymitywne, rozwinęło się wiele chorób, kalectw będących skutkiem igrania z tajemniczą konstrukcją człowieka. Jednym z najczęstszych była choroba "pękniętego orzecha", polegająca, jak sama nazwa wskazuje, na częściowym rozdzieleniu ludzkiego rdzenia, w wyniku czego człowiek pozostaje zawieszony między światem widzialnym a tamtym, nie mogąc ruszyć się ani w jedną, ani w drugą stronę. To tak, jakby egzystencja antropoida zakleszczona została w drzwiach życia.

To było pierwsze zasadnicze osiągnięcie mające znaleźć zastosowanie w Doświadczeniu Ogórka. W "rozłupywaniu orzecha" wprawiała się z wielką ochotą, aż do granic profesjonalności, Oleandra. John również chętnie to czynił, z wiadomych powodów. Zasięg "rozłupywacza" nawet o dużej mocy był niewielki i nie dawał nawet ułamkowego wejścia w inny świat. W zasadzie sprowadzało się to (na Ziemi) do formy relaksu i zapomnienia, którego wszyscy zawsze tak potrzebują. Stwierdzono, że narazie "wędrówka dusz" ma swoje granice. Tak, jakby w pewnym punkcie tworzyła się pustynia duchowa, coś w rodzaju próżniowej przestrzeni wszechświata, gdzie przez tryliony lat świetlnych nie uisli się ani grama materialności. Przez tą pustynię ani o milimetr nie mogła się przedrzeć ludzka koślawa świadomość. Wiadomo było, że charakter przeżyć "rozłupanego" zmieniał się w miarę zbliżania do owej zaczarowanej granicy. Było coraz bardziej nieprzyjemnie, coraz "piekielniej" (dlatego nieliczni mieli odwagę tam wstąpić; poza tym niewielu stamtąd wracało). Krajobraz jak ze złego snu, który też zresztą okazał się jeszcze jedną, na razie "dziką" furtką na pola interesujące zakochanego badacza.

Drugą sprawą były tak zwane "sidła". Rozrzucane jak pyłki dmuchawców w milionach egzemplarzy, miały za zadanie łąpać" wszystkie fale (mysł przecież jest też swego rodzaju falą, co prawda subtelniejszą niż zwyczajne fale elektromagnetyczne) choćby odrobinę podobne do myśli lub innego wykwitu ducha, mające coś z jego rytmu. Urządzenia

tego typu stosowane już były w śledztwach itp., gdzie "odczytywano" rytmikę myślenia uparcie milczącego delikwenta, aby potem zwyczajnie już odszyfrować treść owej rytmiki, co na skutek nieublaganych prawidłowości w funkcjonowaniu myśli nie było znowu takie trudne.

Do wykorzystywania stały też urządzenia "strzelnicze" wysyłające w przestrzeń, lub poza nią, skoncentrowane dawki "miodu" intelektualnego mającego za zadanie "zwać" jakąś pozerczość tego typu. Faktem jest, że niemal jedyną drogą do Ducha świata była i jest dla nas myśl, rzecz bardzo partykularna wobec tegoż Ducha.

Od pewnego wariata (o którym wspominał w swoim raporcie) zakupił za becen specjalnie skonstruowany monitor, który, nakierowawszy swoją kamerę np. na człowieka lub ducha nie pokazywał ciała materialnego (choćby ducha mógł zmaterializować) lecz duchowo-intelektualne. Trzeba przyznać, że urządzenie było wyjątkowo nieludzkie, ale czyż cywilizacja ma prawo winić wynalazców za ich pomysły, jeśli stwarza warunki do wymyślenia takich nieludzkich pomysłów? I co naprawdę jest nieludzkie, jeśli można spytać? Dzięki temu więc "nieludzkiemu" urządzeniu można było stwierdzić, że nawet martwe przedmioty mają zakodowany w sobie pewien, dość nikły, ładunek myślowy, nie mówiąc już o roślinach czy żyjących pod absolutną ochroną zwierzętach. Zresztą, gdyby te wszystkie "zewnętrzne" obiekty nie miały w sobie jakiejś, choćby minimalnej, energii myślowej, czy było by możliwe jakiegokolwiek poznanie? Pomiędzy, umownie zwanym, podmiotem a tak zwanym przedmiotem musi być jakaś niezwykle głęboka więź, inaczej nie jest możliwa sama nawet percepcja, a cóż dopiero mówić o świadomości. W przypadkach ludzi nie jest przecież tak, że "dodają" oni do świata swoją myśl. Ona jest już tam zawarta, niejednokrotnie nie tak, jak sobie to wyobrażają. Czułość owej "telewizji intelektualnej" była prawdopodobnie niezbyt duża i nie bardzo było wiadome czy będzie w stanie odebrać każdy rodzaj i każdą jakość myśli.

Pozbierał jeszcze całe mnóstwo różnych "gratów od wariatów", chociaż nie tylko od nich, nie będąc pewnym co może zdać egzamin w nieznanych warunkach, w jakich przyjdzie im pracować. Wreszcie, nie bardzo wiedząc skąd ma tyle energii do tego przedsięwzięcia, rozpoczął starania o słynnego "Myślaczka". Ten w owym czasie prowadził niezwykle intensywne życie intelektualne, tak że chwilami bez reszty się w nim zatracił i świadomość tego świata uciekała z niego jak powietrze z balonika albo dym z pieca. Od czasu swojego lądowania nabrał żywotności. Wiele już planowano wypraw, w których byłby jedynym członkiem załogi, wciąż jednak oddawał nieocenione (i coraz większe) usługi ludziom, otrzymując w zamian coraz staranniejsze zabezpieczenie swojej egzystencji. Tym bardziej rósł w cenę, że do tej pory nie udało się jego współplemiencom "spreparować" podobnego faceta. O mały włos nie skorzystałby z jednej z wielu propozycji, ale troskliwe Centrum było trochę innego zdania. Rozpętała się długotrwała i dość męcząca dyskusja, która spowodowała tylko osłabienie i długą chorobę "klejnotu ludzkości". Od tej pory umilkły wszelkie sprzeczki a "Myślaczek" coraz częściej pogrążał się w kontemplacji a praca stała. Nikt nie znał treści tych kontemplacji. Tym razem, ku niesłychanemu zdziwieniu Johna, Centrum zdawało się przychylić do nalegań pomysłodawcy, całą decyzję jednak uzależniało od zdania "mózgu świata". Wiadomym było, że na statku nigdy nie będzie miał takiego komfortu i perespektywy niemal wiecznego życia jak w tej chwili, będzie tam narażony na wiele urazów a być może nawet na zniszczenie, na przykład przez anihilację. Poza tym nie miał zbyt wielkiej szansy na powrót w "domowe pielesze". Może przecież nastąpić awaria, a wtedy dryfowanie przez pustkę wszechświata rozciągnie się na całą wieczność. Czy będzie w stanie sam funkcjonować w pustce? Jakimi myślami będzie się żywił wtedy? A może popadnie w "ostatyczną kontemplację"? Słowem, zagrożenie było mnóstwo a szans przeżycia niewiele.

Podłączony do miasteczka komputerów "Myślaczek" długo

rozważał propozycję wysuniętą przez biednego, drżącego Johna. Prosił go o opuszczenie "sali rozmów", wreszcie stwierdził, że natychmiast nie jest w stanie odpowiedzieć, kwestię rozważy i da odpowiedź za jakiś czas. Prosił o podanie melodii. Po kilku tygodniach, skonsultowawszy się zapewne z kim potrzeba, wezwał Johna do siebie i prosił jeszcze raz o dokładne przedstawienie całego "planu strategicznego" wyprawy oraz możliwości technicznych. Przeegzaminował też solidnie "prowodyra" i dokładnie wypytywał o jego partnerkę. Wreszcie, po wielu godzinach, zmaltretowany badaczek-biedaczek usłyszał jak zza mgły wyteknione "tak". "Myślaczek" coś tam jeszcze wymyślał. stawał różne warunki, ale był gotów. Zabezpieczał się jednak, że w razie jak coś "niewypali", będzie miał prawo zrezygnować, łącznie z powrotem na Ziemię. Przypuszczalnie bał się jakiegoś podstępny i ponownego porwania, być może nawet do "tamtych", którzy go tak załatwili, albo do jakichś "innych". Nie pomogło nawet to, że rozszyfrował Johna jako naiwnego zapaleńca, i jeśli tylko nie był - nieświadomie - nasłany, warto było z takim sięgnąć dalej niż gwiazdy. Zresztą, kto go tam wie. Ważne było, że przekonała go dość fantastyczna "hipoteza Ogórka" i nie żywił lęku przed niewygodami czy zagrożeniami przedsięwzięcia. Dobrze pojmował ewentualne korzyści z takiej wyprawy dla ludzi, tych prowincjuszy wszechświata. Może wreszcie Rozum sprzedawano by bez unikalnych kartek, ale na każdym półkolu (jak dawniej na rogu) po najniższych cenach²². To była jedna z wielu ewentualnych korzyści. Obawiał się tylko, że ktoś Inny sięgnął już po ową żytę złotą, przy założeniu, oczywiście, prawdziwości wymysłów Johna.

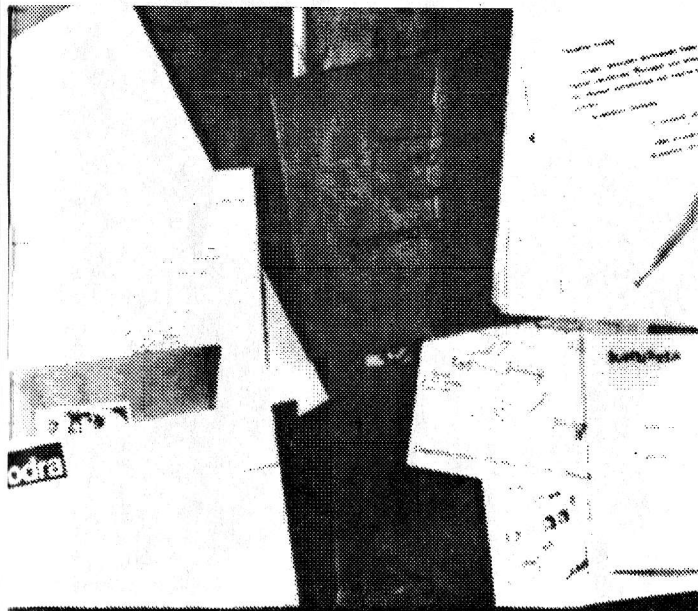
Już zaczął rozważać różne możliwości i warianty. Można by było, w przypadku odkrycia owego pępka, wysłać tam samego pomysłodawcę w kapsule obronno-zaczejnej. Marzyły mu się różne wypadki o charakterze rekonesansów i penetracji obszarów "podejranych" o obecność

pierwiastków tak czy inaczej intelektualnych, Czy rozum ludzki nie może być jednym z wielu, odmianą, wcale nie najdoskonalszą. Rozważał możliwość, że duch nie będzie wcale niczym uniwersalnym (jak jego "przeciwniczka" materia) a myśl nie ma obowiązku w ogóle występować we wszechświecie. Równie dobrze to "coś", jeśli jest, może być całkiem inne, gorsze, albo też, co bardziej jest prawdopodobne, lepsze od ludzko-komputerowej inteligencji. Wtedy, być może, nie będzie w ogóle istniała płaszczyzna porozumienia, również walki (czyż walka nie jest formą porozumienia?), no bo jak można walczyć z czymś, co w żaden sposób nie przypomina niczego znanego? Zakładać jednak trzeba, że uda im się porozumieć z tym "czymś" innym, jeśli będzie (a przecież powinno, to diabła!) choć trochę podobne do czelkokszałtznego, biologiczno-elektronicznego umysłu. Należy oczywiście przedsięwziąć odpowiednie środki obronne, ale bez objawów zbytniego lęku. Wiedział, że będzie musiał przyjąć dowództwo nad załogą i kontrolę nad całą wyprawą. Poznał Oleandrze, która została "oficjalnie" powiadomiona o powoływaniu na testy, i w skrytości komputerów przyznał rację Johnowi; jego z kolei uznał za trochę nieodpowiedniego do tego przedsięwzięcia. Przecież ten człowiek był tylko teoretykiem a to za mało. Wiedział też o eksperymencie poczęcia życia poza starym światem i z wielką starannością zaczął przygotowywać wszystko, co potrzebne do porodu i opieki nad nowonarodzonym. John mógł teraz spokojnie zająć się przygotowaniem samego siebie (przede wszystkim pod względem fizycznym) do dzieła. Poprzez swoich "własnych pracowników" zorganizował wszystko nowy przywódca. Podczas gdy magazyny Cienia pęczniały, projekt statku macierzystego zmieniał się po raz kolejny i nie widać było końca tej pracy. Wszyscy wtajemniczeni przyznawali, że tutaj właśnie tkwi największa bolączka, której nie można zmienić. A przecież od tej konstrukcji zależało powodzenie całej wyprawy. Ten statek miał się poruszać z prędkością dorównującą niemal prędkości ducha zmierzającego do

swojej sfery przeznaczenia! Przede wszystkim musiał być wykonany z materiału zdolnego wytrzymać długotrwałą, dematerializację, czy anihilację, to znaczy przejście na "drugą stronę" materii, coś w rodzaju przekroczenia "bariery dźwięku". Bardzo prawdopodobne, że "tego" trzeba będzie szukać poza światem do którego przyzwyczailo nas "wrzucanie". Nikt nikomu nie zakreśla przecież granic, a tym bardziej temu, co niezależnione jest od jednego oblicza świata, w którym my, może i z własnej winy, zamknęliśmy siebie. Były co prawda prototypy w postaci niewielkich bezzatogowców, z których jeden nawet wrócił z takiej wycieczki w nieznane, przynosząc kilka niezwyklej informacji, w tym również tą (oczywiście w postaci naszego wniosku) jak i z czego należy budować pojazdy przeznaczone do takich rekonesansów. W wielu zakładach produkcyjnych na Ziemi i poza nią szukano odpowiednich materiałów, konstruktorów i tak dalej. Bardzo pożądane, jeśli nie konieczne, było osiągnięcie tak zwanego "efektu lustra" polegającego na tym, że oprócz możliwości przemiany swojej struktury materialnej (przy zachowaniu całej konstrukcji) statek w każdej chwili mógł wytworzyć swoją dokładną kopię. Polegało to na tym, że każda drobina statku posiadała program całości, który w razie konieczności mogła w jednej chwili odtworzyć. Jeśli chodzi o samą materię przeznaczoną na budowę, musiała być ona opanowana na poziomie niższym czy głębszym niż atomowy. W ten sposób Macierz mogła nie tylko zmieniać stany skupienia, lecz przede wszystkim znosić antymaterię. Nie wiedziano tylko, czy znieśie ducha, jeśli go spotka. Wprawdzie i temu próbowano zaradzić, ale wyniki nie były pewne. Tutaj wszystko miało się sprawdzić dopiero w doświadczeniu. Jeszcze raz okazało się, że nasza wiedza o duchu jest znikoma. Poznaliśmy tylko wąski wycinek tego co materialne, tak jak poznaliśmy tylko wąski wycinek wszechświata, o duchu nie ma - dosłownie - co mówić.

C.d.n.

Jan Wadowski



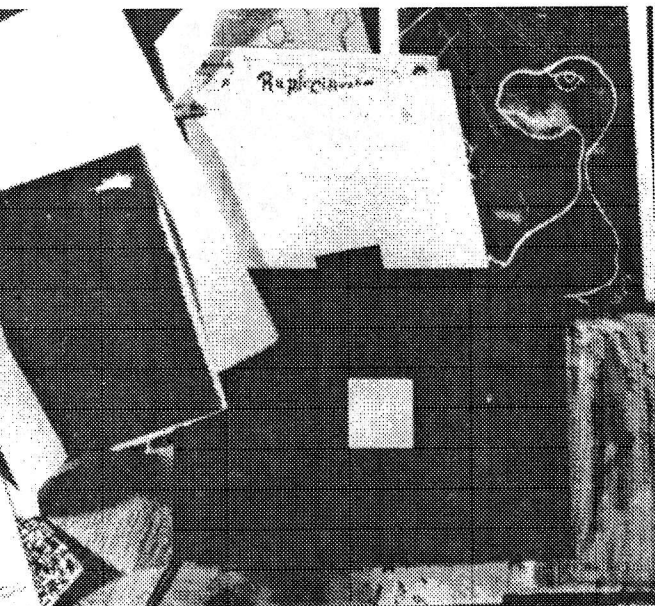
"Prace odrzucone przez wydawców"

Antyfilozoficzne czasy

Czasami odnoszę wrażenie - mimo iż jesteśmy ludźmi, zapomnieliśmy co to jest myślenie. Żyjąc jak każdy inny szary człowiek nie należący do żadnej elity, uświadamiam sobie jak mocno dzisiejsze czasy wrogie są filozofii, obojętne na głos filozofowania w człowieku, który to skutecznie potrafi być zagłuszony. Myślenie zastąpiliśmy liczeniem, kalkulacją. Człowiek z wysoką inteligencją może liczyć na pieniądze i karierę jeśli dostosuje się do ducha czasu. A duch źle pojęty polega na gonieniu za czasem. Duch czasu polega na ekonomicznym przeliczniku. Wystarczy przejrzeć strony gazet: potrzebni są niemal wyłącznie ludzie o wykształceniu ekonomicznym lub technicznym. Tak zwane wykształcenie "humanistyczne" potrzebne może być najwyżej w szkole albo w gazecie. Lecz pomijając nawet te sprawy, niewątpliwie dyskusyjne, jedno pozostaje pewne: nie umiemy i nie chcemy myśleć filozoficznie, czyli "po nic", dla samego myślenia. Żyjąc, w duchu pewnej filozofii (średniowieczno - oświeceniowej), ludzie tak zwanego Zachodu przeczą każdemu myśleniu "po nic", z "miłości mądrości". Zabezpieczamy (bo przecież my, Polacy, mimo tylu kompleksów, należymy do owego "Zachodu") sobie światopoglądy, zawsze martwe. Udręczeni pracą ponad miarę, która stała się jednym z naszych bożków (a wielu ich mamy), szukamy "rozrywki" czyli zapomnienia. Nie interesuje nas nic z wyjątkiem naszego własnego egoizmu. W najlepszym razie odpajkowujemy obowiązek wobec tradycji religijnej, na co dzień kierując się zasadami o włos odróżniającymi nas od zwierząt.

Historia i ekonomia dowodzą naszej słabości. Postępujemy według zasady owczego pędu. Nie stać nas na obojętność wobec rozkrzyczanego świata, na czas zamyślenia, spokoju, refleksji. Nie stać nas na wyzbywanie się pragnień, lecz odwrotnie - dążymy do ich zwielokrotniania.

Narzekaśmy niekiedy na brak bezinteresowności między ludźmi. Ale czy nie pochodzi to z braku bezinteresownego



Prace własne odrzucone przez autora"

myślenia? A myślenie filozoficzne jest właśnie takie. Lecz ludzie boją się marnować czas na coś, za co i tak nikt im nie zapłaci. Gdyby za takie odległe od życia myślenie ktoś dobrze płacił, walczono by o nie ze wszystkich sił. Ale myślenie, tak jak sam człowiek, jest poza wszelką ceną, poza wszelkim czynem, będąc tylko marnym odbiciem, grobem myśli, tak jak ten świat jest tylko nikłym refleksem wspaniałości Boga.

Żeby myśleć trzeba umieć zapomnieć. Żeby myśleć trzeba umieć przestać "robić karierę" czy też szukać lepszych dochodów. Może też trzeba umieć wyzwolić się z własnych namiętności i sposobów na "spędzanie" tak zwanego "wolnego czasu". Żeby myśleć trzeba nie mieć życia podzielonego na pracę i wolny czas. Wszystko musi być równocześnie pracą i czasem wolnym, słowem - całością. Czyż nauczyciel Europy, jakim jest Jezus Chrystus, dzielił swoje życie. Czyż dla niego istniały różnice zrodzone chyba przez tych którzy nie lubili pracować a miejscem ich pracy było zakurzone biuro?

Żeby myśleć trzeba być jednym ze światem. My osiągamy jedynie tylko w sekundowych fragmentach życia: w akcie seksualnym, w śmierci. Są to dla nas doświadczenia na całe życie. A przecież, żeby myśleć, musi być to stan codzienności. Wszechwładna specjalizacja (wszak całe życie w każdej epoce małpuje największy autorytet tej epoki, w naszym przypadku chodzi o mityczną już naukę) czyni nas ludźmi fragmentarycznymi, którzy myślenie o sprawach ogólnych odkładają dla "specjalistów" (np. księży), ponieważ czują się niekompetentni. Nauka w pędziła większość ludzi w kompleksy albo w chorobliwe ambicje. A przecież powinniśmy być ludźmi całości (homo totus), którzy dla całości żyją i dla całości myślą. Dość szybko zgodziliśmy się na nienormalność i niemożliwość spełnienia naszego życia. Najchętniej zamykamy się w prywatności, zaspokajaniu podstawowych potrzeb, "używaniu" życia i "poznawaniu" świata. Lubimy tylko to, co daje nam gwarancję. Uwielbiamy wielkiego rodzaju gwarancje, oczywiście tylko w wymiarze tego życia. Ale nawet religię wielu z nas traktuje jako rodzaj gwarancji, zabezpieczenia przed lękiem. W sumie wszyscy

jesteśmy dość solidnie przestraszeni życiem, chociaż może nie uświadamiamy sobie, że tak jest. U podłoża wielu albo nawet wszystkich naszych poczynań leży z reguły lęk. Gwarancje jakich udziela nam Bóg nie wystarczają nam. Wolimy zabezpieczyć się sami w inny sposób. Bóg jest niepewny, ponieważ nie jest empiryczny, dotykalny. Bóg jest dla nas, jak myślenie, zbyt zwiewny aby się przy nim zbyt długo zatrzymywać. My, pragmatyci, nie lubimy rzeczy zwiewnych, niezbyt "konkretnych" (jeszcze jedno słowo - demagogia), niedotykalnych, tajemniczych. Uważamy, że tajemnice uwłaczają potęgę naszego umysłu, zresztą nie czujemy żadnych tajemnic. Można powiedzieć, że zakrzyżciliśmy Boga. Między Niego i nas puściliśmy confetti najrozmaitszych mass mediów, krzyków i wrzasków współczesnej "sztuki" itp., całe wysypisko śmieci. Dopiero po pewnym przesileniu, kiedy ciężar chaotycznego życia cywilizacji staje się zbyt ogromny, znajduje się coraz więcej takich, którzy szukają innego życia. Gdyby religia nie była tak przywiązana do form językowych, być może wielu zagubionych zwróciłoby się ku niej. Ale cóż - oni są jeszcze dziećmi, oni myśleć nie potrafią; a myśleć - to już przebywać w sferze wieczności. Ale cóż nam do wieczności, jeśli my nawet z czasem nie umiemy sobie poradzić. Raz odnosimy wrażenie, że życie jest takie długie, innym razem znowu preraża nas krótkość życia, jego nadbiegający wielkimi krokami koniec.

Wydaje mi się, znaczna ilość naszych problemów wynika z tego, że, mimo wielu wysiłków, wślizgują nam się do głowy myśli nieubłagane filozoficzne. Nie umiając się z nimi pogodzić pędzimy życie jak stado wieprzy, w które za chwilę wstąpi szatan. Pół-słówka, pół-głosy, pół-klamstwa, pół-prawdy itd. Wszystko musi być w naszym wydaniu połowiczne, cząstkowe. Stąd - nienasycenie, w świecie zwielokrotnianych pragnień, jest naszym stanem naturalnym. Nie dostrzegamy nawet klatki, w którą siebie zamknęliśmy. "To wszystko bujda" - powie taki czy inny umiający "zmieścić się" w społeczeństwie oraz posiadający swoje "miejsce w życiu", określony, zdefiniowany, zaszufadkowany. Do pełni

zyciorysu brakuje mu już tylko pogrzebu i własnego, zapracowanego miejsca na cmentarzu. Oczywiście, to wszystko musi być kłamstwem dla większości ludzi. Wcale nie mam co do tego złudzeń, mimo, że wraz z wypadaniem włosów i zębów nie wypadają ze mnie ideały. A jednak uważam, że człowiek dzisiejszy nie umie czy nie chce żyć zgodnie ze swą naturą, nie sięga po najwyższy rodzaj kultury osobistej i społecznej jakim jest religia, w egoistycznym ustroju traktowana praktycznie jako kupa bzdur. Dla mnie żyć z własną naturą to przede wszystkim, myśleć, rozważać najważniejsze kwestie ludzkiego życia, a także nieustannie przypominać sobie o groźbie antropocentryzmu, postawienia siebie na szczycie wszechświata. To niebezpieczeństwo gorsze od wypaczeń światopoglądowych czy ideologicznych. Zresztą, niemal każda ideologia czy światopogląd mają w sobie wiele antropocentryzmu. Ale to się zmienia w dydaktykę. Tymczasem nie chcę nikogo pouczać. Filozofowanie nie jest dziedziną wybranych z tytułami naukowymi przed nazwiskiem. Idąc jeszcze dalej, uważam, że filozofowanie jest nieodłączne od religii. Nie ma religii bez myślenia. Ale nie ma też prawdziwego myślenia bez religii, to znaczy bez religijnego nastawienia. Antyfilozoficzne nastawienie zemści się na nas, jeśli już się nie mści, choćby przez zniszczenie środowiska, uzależnienie człowieka od techniki, przez większość tak zwanych "chorób cywilizacji". Myślenie jest niewidoczne i to jest jego słabość, dla tej technicyzycznej cywilizacji oczywiście. Bo w dalszej perspektywie jest to jego siła i wielkość, ponieważ wpływa ze źródła, jakim jest duch człowieka, nie tak łatwo poddający się technicyzacji. Dobrze jest zmarnować (się) życie dla myślenia, dla filozofii. Daje to poczucie wolności jakiego nie zna człowiek zapatrzony w dokonania dwudziestego stulecia.

Jan Wadowski

SŁOWO i OBRAZ !

Słowo i obraz to klucze do otwarcia tajemnicy. Teraz wypowiadamy to jednym tchem. Ale były czasy dominacji słowa. Słowa które było na początku. Był też czas wielkiej integracji mentalnej gdy religia, nauka i sztuka stanowiły całość niepodzielną, gdy dobro, prawda i piękno były jedną. W czasie - etyka, poznanie i estetyka podzieliły się odchodząc od wspólnego pnia. Stało się to w czasach wczesnego oświecenia co stwierdził w XIX stuleciu Max Weber i trwa ten stan rozpadu nadal. Oczekuje na integrację na innym wyższym poziomie.

Co było przyczyną. Samodzielność jest chyba mniej krępująca. Nie wymagała odpowiedzi uwzględnionych w trzech zbiorach. Ewuolowanie ludzkości w stronę coraz to większej złożoności mogło się realizować szybciej przez wolność myślenia, wolność odczuwania. Osobno.

Poznanie zawiadnęło ludzkością i światłem. Światło zniewoliło oko. Nastąpił niegasnący dzień. Żywiotowo wzrosła wizualizacja. Powstało imperium ikonosfery. Eksplozja technologii komunikacji pomnożyła obrazy. Zwielokrotniła oglądanie. Przesunęła obrazy przed znieruchomiałym wzrokiem. Przeniosła z wielką szybkością człowieka przed znieruchomiałymi obrazami.

Od początku gdy światło zwyciężyło ciemność było to drugie oświecenie Natury.

Ludzkość dobrze pamięta historię zapisaną w księdze Rodzaju. Wtedy zaczął się binarny kształt wszystkich fenomenów.

Poznaję dobro i zło, piękno i brzydotę, prawdę i kłamstwo
umie zgłębiać to co jest pomiędzy. Poznaję panowanie nad
ziemią i podległość Opatrzności i uciążliwość tego stanu.
Posiada świadomość scalania i wspierania. I stanęła w
obliczu rozproszenia wartości podstawowych. Do Renesansu
stały one w jednym domu. Potem wyszły zeń, każda w inną
stronę. Dobro opuściło prawdę i piękno. Prawda opuściła
dobro i piękno. Piękno opuściło dobro i prawdę. Powstał
zamęt wolności.

Sięgnijmy po zmysłową przypowieść. Ludzkość wędrując
przez ziemię zmęczoną zasnęła pod wielkim drzewem. Śniła
swoją kolejny proroczy sen. Bo oto znalazła podobieństwo
pomiędzy drzewem wiadomości dobrego i złego, a tym pod
którym teraz spoczywała. I przyszła myśl, że jest to znów
fatalne drzewo wiadomości. I opanował ją strach przed
drugim strąceniem, bo owoce tego drzewa były blisko. Lecz
dobro prawda i piękno odzieliły się i drzewo wiadomości
opuścił dylemat złego i dobrego. I ciekawość dręczyła
pytaniem czy owoce drzewa wiadomości są zakazane, czy
nie? I przyszedł wtedy wielki wiatr, który ciął skrzydłami
powietrze z góry na dół i wiele owoców tego drzewa upadło
na ziemię obok leżącej ludzkości. Spożyje je, czy nie? Leżą
oto w trawie, maszyny parowe, elektryczne, szybkobieżne
czątenka, dynamika, termodynamika, magnetyzm i
elektryczność. A potem spada z wielkim szumem
technologia komunikacji. Zaczyna się wielka cywilizacja
eksplozji, albo eksplozja cywilizacji. Człowiek podejmuje te
owoce, a potem ludzkość oszaleje. Wyniesie się ponad
wszystko. Czy upaść? To ten XVII i XVIII i XIX wiek.
Cywilizacja eksplozji uwalnia obraz i pęta słowo. Powstaje
filozofia postaci co sprzyja oswobodzonej ikonie. Bo przecież
postać może być niewyodolna z jej elementów. Całość
obrazu przestaje być sumą, a staje się dzięki tajemniczej

właściwości czymś więcej, iloczynem nieznanymi czynników.
Obraz wyzwolony staje się protezą pojmowania świata.
Wpływa do naszej świadomości postaciami. Nie napina siatki
intelektualnej. Wspomaga intelekt na ile to jest możliwe,
receptorami emocji i mistyki. Natura ma nieskończoną ilość
form. Kultura je tworzy. Nadawca - twórca przygotowuje
starannie ten fenomen zniewalający odbiorcę. Zależy to od
talentu twórcy. Ma różne stopnie doskonałości w zbliżeniu
się do prawdy. Szybkość i wygoda wizualnej transmisji
informacji zwyciężają. Równocześnie w zbiorze kultury,
postacie zjawisk tandeciej. Zmniejsza się pod wpływem
reklamy i wszechogarniającej propagandy standard prawdy.
Osłabieniu ulega gimnastyka pojęciowa i transformacja siatki
intelektualnej. Medytacja i kontemplacja przy użyciu pojęć i
leniwej wyobraźni staje się uciążliwością wolicjonalną.
Literatura rezygnuje z poszukiwania słów i poprzestaje na
powielaniu obrazów.

Słowo czuje się zdradzone przez obraz. W postmodernizmie
w jasną relację słów i zdań wkrada się sprzeczność, brak
ciągłości, przypadkowość, przesada i krótkie spieście. Beckett
w "Nienazywalnym" w refrenie końcowym składa obok siebie
sprzeczne zdania: "Muszę ciągnąć dalej, nie mogę ciągnąć
dalej, będę ciągnąć dalej". Słowo coraz bardziej
deprawowane jest przez wspomnianą propagandę, staje się
coraz mniej wiarygodne. Byłoby jakiś obraz gwałci naszą
świadomość. Ile rozpaczy i prawdy jest w wierszu Tadeusza
Różewicza:

"Słowa moje pragną
wiecznego spoczynku
chcą wrócić do początku"

I żal z powodu ludzkiej niewoli w imperium ikonosfery...

"Wyjawiłem Ci tajemnicę
Wcielonego Słowa

Ale ty nie dosłyszales
 Akurat odwróciłeś głowę
 Za oknem dzwonił tramwaj
 W telewizorze zjawił się
 Kaczor Donald"

I jeszcze raz proroctwo...

"Hałas harmider
 jaki wszczęli poeci
 będzie przyczyną ich zguby."

Tak to obraz uproszczony niszczy słowo i oddala nas niepostrzeżenie od prawdy. Światło jak ogień ukradzione przez człowieka wprowadziło nas na prometeuszową ławę oskarżonych.

Słowa w postmodernizmie jak kamienie szlachetne ścierają się z sobą i z rzeczywistością, i zamiast otrzymywać nowy kształt zmieniają się w proch i przepadają bez śladu.

W cywilizacji eksplozji słyszać tylko detonacje, nie słyszać słów. A obraz eksplozji to wirowanie bez sensu, zdynamizowany chaos.

Jeszcze tylko w Świętym można usłyszeć słowo, które było na początku. Tylko tu detonacja nie zabija sensu.

Oczekiwany jest czas Nowej Integracji, Nowego scalenia. Będzie to nowe przyjsie. Gdy prawda, dobro i piękno znów będą Jednią. Jeśli nie, zwyciężą u nas zintegrowane siły kłamstwa, zła i brzydoty. Te nigdy się nie rozpadły.

Witold Jerzy Molicki
 WROCŁAW, listopad 1991r.

CHRZEŚCJAŃSKA JOGA; CHRZEŚCJAŃSKIE ZEN

Poznajemy coraz więcej różnych duchowych tradycji, coraz więcej różnych ścieżek na drodze do oświecenia i zbawienia. Często czujemy się zagubieni i rozpraszamy swoje siły próbując każdej z nich; a przez to brakuje nam determinacji, aby zrealizować do końca przynajmniej jedną. Czy można być jednocześnie buddystą i chrześcijaninem, mużmaninem i chrześcijaninem? Wbrew pozorom tak postawione pytanie nie jest absurdałne. Zmusza nas bowiem do zastanowienia się co jest istotą naszej religii, co jest istotą każdej religii. Coraz częściej uświadamiamy sobie, że żaden system religijny nie może przypisywać sobie posiadania monopolu na zbawienie i oświecenie i że łaską obdarzeni są wszyscy drogami znanymi wyłącznie Bogu, Bóg zaś jest większy niż historyczne znaki, przez które się objawił. Ze strony chrześcijańskiej dała temu wyraz konferencja teologów azjatyckich w Nagpurze w 1971 roku podkreślając, że religie azjatyckie nie powinny być nazywane "niechrześcijańskimi" bowiem "obserwujemy w nich działanie Chrystusa i Jego łaski". Coraz częściej słyszy się również i wśród chrześcijan, że niechrześcijanie zbawiają się nie pomimo ale przede wszystkim - dzięki wyznawanej religii. BŁOGOSŁAWIENI są ubodzy, głodni, płaczący... bez względu na przynależność religijną (Por. Łk. 6, 20-23); a dziedzicami KRÓLESTWA są ci, którzy dali jeść, pić, przyodziali czy odwiedzili jednego z braci najmniejszych (Por. Mt 25, 31-45).

Pytanie o istotę religii kieruje nas w stronę praktyki ukazując jednocześnie uwarunkowaną i nietrwałą naturę rozumu, który nie ma prawa wysuwać absolutnych roszczeń. Filozofia kończy się stwierdzeniem - "wiem, że nic nie wiem" (Sokrates) - wbrew pozorom trzeba wiele wiedzy i pokory, aby do tego się przyznać. Dla doświadczenia religijnego tego typu stwierdzenie jest początkiem drogi, często bolesnego

oczyszczenia umysłu, aby ostatecznie dojść do wyzwającego odkrycia - "nie wiedziałem, że wiem". W zbiorze powiedzeń Starców (Geronticon) znaleźć można opowiadanie o św. Antonim (żyjącym na przełomie III i IV wieku) mówiące o tym, że gdy Ojciec Antoni chcąc wypróbować mądrość swych rozmówców "przedłożył im pewne zdanie z Pisma Świętego i pytał ich po kolei (...) co by to zdanie mogło znaczyć". Usłyszał wtedy różne odpowiedzi, pochwalił jednak tylko Ojca Józefa, za to, że znalazł właściwą drogę, bo powiedział "Nie wiem". Wiedza jest bramą wielu nieszczęść; to właśnie przez skosztowanie owoców z "drzewa poznania" człowiek utracił szczęśliwą egzystencję w RAJSKIM OGRODZIE. Dziś po latach totalnego racjonalizmu i aktywizmu coraz częściej uświadamiamy sobie potrzebę drogi "NIE WIEM", która po trudach "ciemnej nocy" pozwala ujrzeć światło i nim się nasycić. Również dla chrześcijanina dzieje się to nie bez udziału innych tradycji religijnych, które zachowały swoją pierwotną i spontaniczną wrażliwość poznawczą. Głównie myślimy tu o indyjskiej jodze, japońskim czy koreańskim Zenie, które uczą tego, co istotne odwołując się do bezpośredniego doświadczenia; przechodząc nawet ponad hinduistycznymi czy buddyjskimi systemami filozoficznymi i kulturami.

"Indie - jak pisze Ojciec Henric Le Saux - przychodzą w kolejnym stosownym czasie, w momencie wybranym przez Boga by pomóc Kościołowi, odkryć jego własne skarby, czy też przyczynić się do ich owocowania". W podobny sposób przed wiekami ubogacające było dla judaizmu i potem dla chrześcijaństwa spotkanie z mądrością Egiptu, Chaldei, Persji czy Grecji. Zbliżoną drogą kroczyły i inne religie. Nie istnieją właściwie religie w stanie "czystym". Każda jest w jakimś stopniu dorobkiem wielu kultur, których elementy są już często nie do odróżnienia. To co dziś nazywamy jogą indyjską zostało przejęte od wcześniejszej przedaryjskiej kultury; to zaś co dziś nazywamy Zenem jest dorobkiem kultur i religii Indii, Chin, Japonii i Korei.

CHRZEŚCIJAŃSTWO, HINDUIZM, JOGA

Na pytanie, czy można być jogiem chrześcijańskim,

udzielono już wiele ostrożnych odpowiedzi. Dr C. G. Jung w pracy "Le Yoga et L'Occident" (Joga i Zachód) twierdził, że Europejczyk jest tak ukonstituowany, iż niechybnie może zrobić zły użytek z Jogi. Uważał jednak, że dla człowieka Zachodu potrzebna jest jakaś specjalna ścieżka Jogi i dodaje, iż "Trzeba by Zachód wypracował w ciągu stuleci własny system Jogi, który zostanie oparty na podstawach chrześcijańskich". Leon Noel, który samodzielnie i dość nieumiarkowanie praktykował Jogę, że niemal doprowadził się do choroby psychicznej, pisał po nawróceniu się na chrześcijaństwo, że istnieje możliwość nie tylko jednego lecz wielu systemów Jogi chrześcijańskiej.

Przypomnimy tu, klasyczna definicja Jogi zawarta w Jogasutrach przypisywanych Patandżalemu mówi, iż "Joga jest powściągnięciem zjawisk świadomościowych" (1 Js 2). W tym stanie Purusza (Absolutny Podmiot = PAN) powraca do swego stanu pierwotnego, w innym wypadku PODMIOT utożsamiany jest ze swymi modyfikacjami czyli "światem". Panowanie nad świadomością osiąga się przez praktykę (abhyasa) i nie przywiązywanie się czyli bezpragnieniowość (vairagya). One to prowadzą do wyzwającego poznania, rozróżniającego Puruszę od "świata"; "Ja" absolutnego od "ja" uwarunkowanego zjawiskami świadomościowymi, "widza" od "przedmiotu widzenia". Ze względu na różne uwarunkowania ludzi i różne ich predyspozycje podaje się też różne ścieżki Jogi. Najważniejsze z nich to RADZA JOGA (akceptująca rolę świadomości), HATHA JOGA (akcentująca rolę ciała), KRIJA JOGA (akcentująca rolę ascezy, medytacji i wyrzeczenia), BHAKTI JOGA (akcentująca rolę miłości i oddania się Iśwarze - Bogu Najwyższemu Panu). Cel każdej z nich jest jednak ten sam, to znaczy zdobycie wyzwającego poznania rozróżniającego, które w konsekwencji prowadzi do wewnętrznej przemiany. ŚRI RAMANA MAHARISZI wyraził to w języku chrześcijańskim - "ciało nasze (materia) jest krzyżem, Jezus - Syn Człowieczy - to nasze "ja"; to pojęcie "ja jestem ciałem". Gdy Syn Człowieczy jest rozpięty na krzyżu "ja" zanika i ginie, a to, co pozostaje po przejściu tej męki to świadomość

bytu absolutnego; to zmartwychwstanie w nas wszechmogącego DUCHA Chrystusa - Syna - Bożego".

(...) "Poznanie siebie wolnego od wszelkich cech, jest Stwórcy, poznaniem prawdziwym, bo sobie jedynie Boga można znaleźć; łaska spływa gdy, "ja" umiera, przebywanie w Panu to jedyna asana".

Wypowiedzi, które przedstawiłem pochodzą z przełomu lat 40-tych i 50-tych w tym też czasie benedyktyn pochodzący z Opactwa św. Andrzeja w Belgii zaczął praktykować Hathajogę bez górnołotnych zamiarów chrystianizowania jakiegokolwiek ścieżki Jogi. Był przekonany, że człowiek jest jednością ciała i duszy, inteligencji i miłującego ducha, którym jednocześnie brak harmonii w codziennym życiu. Dzięki praktyce rozumiał, że ćwiczenia Jogi (asany, praojajana, i praktyka koncentracji) pomagają człowiekowi osiągnąć wewnętrzną jedność i harmonię, w konsekwencji czynią nas w pełni sobą przed Bogiem a pogłębiając nasze życie duchowe umożliwiają również pogłębienie naszego chrześcijaństwa. Swoje doświadczenia przedstawił w książce "La voie du silence (Yoga pour chretien)" - "Droga milczenia". i "Yoga chretien en dix lecons" - ("Joga chrześcijańska w dziesięciu lekcjach"). Książki te zaopatrzone w imprimatur Opata Klasztoru i Wikariusza Generalnego Brugge ukazały się wielu językach i służą wielu chrześcijanom (i nie tylko chrześcijanom) na ścieżkach ich duchowego życia.

Oczywiście w ciągu ostatnich lat wielu chrześcijan kroczyło różnymi ścieżkami Jogi. Niektórzy z nich jak O. Henri Le Saux (czyli Swami Abhishiktananda), O. Jules Monchanin (czyli Swami Parama-Arubi-Ananda), a także O. Beda Griffiths stali się "hindusami dla hindusów". Założony w 1950 roku Saccidananda Ashran Shantivanam głosi Dobra Nowinę w języku, obrzędach i filozofii Indii nawiązując jednocześnie do najstarszej indyjskiej tradycji chrześcijaństwa - głosił je tam św. Tomasz Apostoł. Chrześcijańską Trójcę Świętą wyraża tu hinduski symbol trzech aspektów Bóstwa (Trimurti), czyli trzy twarze jednej głowy. Na krzyżu ustawionym w kole, indyjskim symbolu

"Świata" (Samsary) i "Prawa" (Dharmy) wryta jest święta głoska "OM" symbolizująca Boże Słowo wieczny Logos. Ojciec Amaldas z asramu proponuje nam metodę chrześcijańskiej medytacji jogicznej: usiądź w pozycji stabilnej i wygodnej (Stira sukha asana). Przymknij oczy, skup swą świadomość na oddychaniu. Uświadom sobie powietrze wchodzące przez nozdrza a potem przez nie wychodzące (...), po pewnym czasie zacznij powtarzać Święte Imię: "OM NAMA CHRISTAYA" (...). W tym ciele powinna panować zupełna cisza...

Ojciec Amaldas stosując tę mantrę doświadczył przemieniającego jego życie doznania. Po około pięciu godzinach tego typu medytacji, zaczął dostrzegać wszystko wewnątrz siebie; cały świat stworzony, góry i doliny, cała ludzkość, wszystkie stworzenia, słońce, księżyc i gwiazdy. Został przeniesiony na poziom świadomości, gdzie doświadczył, że jego ciało to ciało Jezusa, a krew jego to krew Jezusa, doświadczył niebiańskiej obecności Ojca. Stopniowo dostrzegał wzrastającą ukrytą w nim MOC.

Zadziwiający jest jednak, że ten indyjski styl chrześcijańskich klasztorów nie jest pociągający dla samych hindusów. Założony przez Belgijską Kongregację Benedyktynską klasztor ASIRVANAM, oparty bardziej na zachodnich zwyczajach liczy dziś więcej mnichów hindusów niż klasztor SHANTIVANAM, który bardziej odwiedzany jest przez chrześcijan z Europy.

Metodę mantry wprowadził również w Klasztorze Benedyktynów w Montrealu Ojciec John Main OSB. Poznał ją pracując w służbie kolonialnej na Malajach od indyjskiego swami. Po latach już w klasztorze benedyktynskim poznał zachodnią tradycję medytacji przekazaną przez Jana Kasjana i nieznanego autora "Obłoku niewiedzy". Gdy wspominał o tej nauce i chęci nauczania tej prostej metody modlitwy swemu przyjacielowi mnichowi Ramakriszny, ten odślaniając mentalność człowieka Zachodu poradził mu aby całą naukę nieco skomplikował - "kiedy ludzie przyjdą do Ciebie - powiedz im, że posiadasz tajemną wiedzę przekazywaną przez wieki przez zakon mniszy i wiedza ta jest tak ważna, że

możesz przekazać ją dopiero po wielu tygodniach, w ten sposób będziesz mógł pewniej zachęcić ich do zainteresowania się tą prostą metodą modlitwy". Ojciec John proponował mantrę MARANATHA, jest ona aramejskim zawołaniem pierwszych chrześcijan. Dziś nauczają tej metody modlitwy ośrodki medytacyjne założone przez Ojca Johna Main OSB na całym świecie, również w Indiach, w Singapurze czy na Tajlandii. Po śmierci Ojca Johna prowadzi je Ojciec Laurence Feeman, który jest również przeorem benedyktyńskiego klasztoru w Montrealu.

CHRZEŚCJAŃSTWO, BUDDYZM I ZEN

Gdy jezuita Matteo Ricci (1552-1610) wkładał szatę buddyjskiego mnicha (która zresztą niewiele różniła się od sutanny jezuitów) był przekonany, że tą drogą łatwiej mu będzie głosić Chińczykom "dobrą nowinę o zbawieniu". Szata nie przyniosła jednak powodzenia misji, gdyż w czasach i rejonach, w którym działał nie ceniono buddyjskich mnichów. Wpływowo miejsce w chińskim społeczeństwie zapewniła mu dopiero szata i przejęte przez niego zwyczaje mandarynów. Podobną drogę przeszli benedyktyni Kongregacji Belgijskiej (do której należą i benedyktyni polscy) gdy w latach dwudziestych naszego stulecia zakładali klasztor w Si-Shan przeniesiony potem do Cheng-tu w Sinis a ostatecznie w latach rewolucji do Valyermo w Kalifornii w USA.

Kilka lat temu, po trzydziestu latach nieobecności do wspólnoty klasztornej dotarł z Chin były nowicjusz. Trzydzieści lat spędzonych w więzieniu uznano za dobre przygotowanie do życia mniszego i pozwolono złożyć śluby zakonne.

Bardziej owocne okazały się kontakty z mnichami buddyjskimi w Japonii. W latach 50-tych Jezuita Ojciec Hugo Enomiya-Lassalle założył wraz z Akiawą Shimmeikutsu, niedaleko Tokio pierwszy klasztor chrześcijański, w którym praktykuje się zen. Dziś jest już wiele podobnych ośrodków. Niektóre z nich związane są z klasztorami benedyktyńskimi - Würzburg, Beuron, Nereshim, Maria Lach, natomiast w Bad Würzach (RFN)

otwarto Chrześcijańskie Centrum Zen.

Gdy Ojciec Lassalle po raz pierwszy usłyszał słowa mistrza: "kiedy zaczniesz praktykować Zen, dopiero wtedy zrozumiesz katolicyzm", był wielce zaskoczony i zakłopotany. Lata studiów teologicznych ugruntowały w nim przekonanie, że już wszystko wie o swojej wierze i nie spodziewał się, iż mógłby się jeszcze czegoś dowiedzieć - zwłaszcza od buddystów. Po latach praktyki Za-Zen zrozumiał, że Zen jest jak czysta górską woda, bez zapachu, barwy i smaku, a ponieważ bazuje jedynie na bezpośrednim doświadczeniu, może być pomocny dla każdego człowieka w jego duchowym rozwoju, bez względu na rodzaj wyznawanej religii czy światopoglądu.

Nauczycielem Ojca Lassalle był rosi Yamada, uczeń rosiego Harady i rosiego Yasutaniego (w Polsce tę linię szkoły Soto reprezentują uczniowie Philipa Kapleau i rosiego Kwonga). Rosi Yamada często pytany przez chrześcijan, zwłaszcza katolików, czy mogą praktykować Zen nienaruszając swej wiary, odpowiadał zazwyczaj, że "Zen nie jest religią w tym sensie co chrześcijaństwo. Jego sercem jest bezpośrednie poznanie, nie ozdobione jakimkolwiek pojęciowymi czy filozoficznymi ujęciami, dotyczące doświadczanych faktów, w takim samym sensie jak jest faktem smak herbaty. Filiżanka herbaty nie posiada żadnej myśli, żadnej idei, żadnej filozofii. Smakuje tak samo buddystom jak i chrześcijanom".

Rosi Yamada był również nauczycielem takich mistrzów Zen jak benedyktyn, Ojciec Willigis Jäger, benedyktynka, siostra Ludwiga Fabian czy pallotyn Ojciec Johannes Kopp.

Rosi Mumon twierdzi, że Zen ubogaca katolicyzm przez to, że zgodnie z nauką Jezusa zawartą w "Kazaniu na Górze" - "Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą" (Mt 5, 8) - oczyszcza serce i umysł a przez to umożliwia doskonalsze postrzeganie i głębsze poznanie. "Czysty duch - mówi Roshi Mumon - jest miłością, jest Bogiem". Buddyzm, jak wiemy, nie przyjmuje koncepcji Boga. Nie znaczy to jednak, że Boga odrzuca. Buddyzm milczy o Bogu. Milczenie jest wyrazem doświadczenia

Tajemnicy. Dalaj Lama jednak w rozmowie z papieżem Pawłem VI powiedział: "Jeśli Bóg jest miłością, to ja wierzę w takiego Boga". Przywódca buddyzmu tybetańskiego odstąpił tu to, co najważniejsze w każdej religii - MIŁOŚĆ. "... Kto miłuje (...) zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością" (I J 4, 7-8).

Warto jeszcze wspomnieć o inicjatywie Roshiego Furokawy, który założył ŚWIĄTYNIĘ ALBERTA SCHWEITZERA, z którą związani są obok Roshiego Furokawy dwaj buddyści - Ryuto Takebuchi i Kakuichi Narui, trzech chrześcijanie Ojciec Franco Sattocornola, prof. Masaaki Honda i Ojciec Johiro Okumura, a także muzułmanin Dr Haruo Abe. Świątynia ta uświadamia nam, że prawdziwa duchowość i świętość wznosi się ponad systemy polityczne, kulturowe czy nawet religijne.

Wszelkie doświadczenie religijne kieruje nasz umysł w stronę praktyki. Gdy Mojżesz spytał się Nieznanego o imię, Ten mu odpowiedział: "JESTEM, KTÓRY JESTEM" a raczej "JESTEM, KTÓRY BĘDĘ". Nie jest to imię w sensie właściwym. Nieznany, mimo że bliski, owiany jest nadal obłokiem "niewiedzy" i takim musi pozostać. Odpowiedź Jahwe uświadamia nam, że Nieznanego możemy bardziej doświadczyć niż nazwać - "Nie pytaj mnie o imię, ale idź po moich śladach, a o tym, Kim Jestem przekonasz się przez to Kim Będę dla ciebie".

Podobnie jest z wszelką duchową aktywnością. Gdy pytamy o medytację i kontemplację, o Jogę czy o Zen, to nasze pytanie ma sens jeśli prowadzi nas ku praktyce i tylko praktykując możemy poznać prawdę czym one są. Droga medytacji i kontemplacji otwiera nas zawsze na Tajemnicę. - "Jeśli chcesz dojść do tego, czym nie jesteś, masz iść przez to, czym nie jesteś" (św. Jan od Krzyża).

O. JAN M. BEREZA OSB

— — —
nikt
tak jak Ty
nie wie jak bardzo
obecność Boga
wyzwała radość i ból

przecież życie
niepełne bytuje w nas
dopóki zdążamy

ale Jesteś
już ponad
i trwasz tak jak On
Twój Syn, Nasz Syn
w zwykłej dla Was
Miłości

nie zapominaj o nas
w Pełni Bożej i trosce Kobiety
Matko Przenaświetsza

NOTA AUTORSKA

Ks. Mirosław Drzewiecki

Duszpasterz Środowisk Twórczych we Wrocławiu, a także poeta.

Wojciech Izaak Strugała

Poeta. Mieszka obecnie w Mieszkowicach w woj. szczecińskim, ale jest mocno związany z Wrocławiem. Drukujemy wiersze monopolowe o Rafale Wojaczku. Opisuje się poezją wyraźnej negacji.

Michael Krüger

(1943) Ur. w Wittgendorf w Turynii. Publikuje wiersze, prozę, eseje, przekłady. Ogłosił m.in. "Kot Diderota" - 1978, "Z równiny" w 1982, "Dront" w 1985, "Świat i szkło".

Jan Wadowski

(1959) W numerze dalsza część powieści "Wołanie duchów". Jest autorem tej powieści. W Sztuce Osobowej jest także autorem w wyłączności.

O. Jan M. Bereza, OSB

Benedyktyn z lubińskiego klasztoru. Autor esejów.

Witold Jerzy Molicki

Dr architektury. Mieszka we Wrocławiu. Uczestnik w ubiegłorocznym "Tygodniu Kultury Chrześcijańskiej".

Ryszard Marek Kędziński

(1957) Narzekam na siebie. Twórczość za bardzo wielokierunkowa. Co prawda taki charakter narzuca właściwość Sztuki Osobowej. Idea jest podmiotem sztuki. Także człowiek. Problem podstawy twórczej tkwi w pytaniu - idea a realizacja? Trudna sztuka. Przemieszczam się w podmiocie; w przedmiotach sztuki. W człowieku i od człowieka, i nawet w klasycznej formie w materialnym przedmiocie dla ludzi. Poezja pozostaje zredukowana, nie piszę. Pozostaję wierny postanowieniu. Zbieram na jedyny tom, te utwory, które mogą pozostać. Czytam i ciągle poprawiam. Gdzieniedzie dodaję nowe interpretacje. Tylko tyle.

Proza. Trochę inaczej. Jeszcze jeden temat. I tak dużo. Futorologia jest bardzo niebezpieczna. I niepotrzebna. Realność prozy dzieje się w czasie rzeczywistym i na tym się zatrzymuje. Jest jeszcze czas intelektu. Płaszczyna idei.

Malarstwo. Obrazy INRI i nic więcej. Najbliżej milczenia z wszelkim paradoksem. W kontrze z techniką języka. I jeszcze technika jako taka. Ale technika w Sztuce Osoby jest sztuką. Więc całość stanowią sprzeczne napięcia. A godzenie nie może być jednostronnym uniesprzecznianiem, lecz sensem jest jedynie droga pokoju i wspólnego dobra, przez realizację konkretności w osobowym czynie dzieła sztuki. I jeszcze utwory sceniczne. To naprawdę dużo. Bardzo obciąża. Duży trud. Myślę, że problem jest jednak w maksymalnej redukcji form i skupieniu na najistotniejszym podmiocie.

Zapomniałem o technologicznych problemach redaktora. Ale ten mankament jest rzeczą zbywalną, podejrzewam - chyba z czasem. Myślę, w tym miejscu zawiera się także sedno mojej sztuki. Dualne. Przedmiotowa przeszkoda i środowisko tworzenia Sztuki Osobowej. W tym staje się.

VARIA

Zwycięża elitarna koncepcja strategii gospodarczej naszego pisma, stąd i tak zaniziona dotąd cena jest z tym numerem regulowana normalnie na poziomie optymalnej ceny. I stąd kosztuje 10.000 zł/egz. w kiosku. Za zmianę PRZEPRASZAMY.

Sprawą bardzo deprymującą staje się całkowita inercja Państwa chociażby w sprawach podatkowych. Obciążenie mentalne Państwa strategią ogólnego, światowego systemu militarnego nie może stanowić przeszkody.

Z końcem ubiegłego roku wprowadzono w Urzędach Skarbowych nowy arkusz rozliczeniowy o znacznie zwiększonej objętości, z bezsensownie powielanymi rubrykami i już zaznaczonymi samoistnymi skreśleniami. W tym roku dodano dodatkowy objętościowo kilkakrotnie większy arkusz druku podatku dochodowego z podobnie powielanymi tabelami, w których używa się zamiennie i w różnym znaczeniu te same pojęcia. Co stwarza zupełny galimatias. Świadczy, o kompletnej dewastacji zmysłu ustawodawczego. Poza tym obecnie próbuje się wydawcy narzucić 5% podatek obrotowy. W dodatku niezależnie od końcowego bilansu, którym jest w naszym wypadku strata.

Podstawowy wniosek i wymóg Sztuki Osobowej: Politycy muszą przestać obrażać ludzi. Politycy próbują zmienić sposób wyrażania się w rządzie, ale skutek ustawodawczy jest dalszym, ciągiem w wielu przypadkach, destrukcji PRL-u; metody panowania urzędów. A wymóg "uprzejmości" do podatnika, jeśli nie służebności jest koniecznością nie tylko ideową, lecz wręcz pragmatyczną, ściśle wymierną w działaniu mechanizmu gospodarczego-prawnego.

Wniosek:

Nie będę płacić podatku obrotowego, niezależnie czy posiadam, czy strąę. Ponieważ jest to absurd od absurdu. Dotąd nie będę płacił, aż Urząd Skarbowy zapewni miesięczną gwarancję bytową (podstawowe prawo natury) załączając do składki ubezpieczeniowej kwotę adekwatną do realiów, wolną od podatku. Suma zwolniona, 3.600.000, czy wprowadzona 4.320.000 zł, daje w stosunku rocznym 300 bądź 360 tys. zł, co równoważy cenę biletów MPK. Toteż podatek obrotowy jest w ogóle bądź prowizorycznie aktualnie nonsensowny, (dochodowy w tym miejscu także), gdyż nie uwzględnia gwarancji bytowej, podstawowego zarobku podatnika.

W wyniku protestu uchylono mi czasowo co prawda wprowadzenie podatku obrotowego, lecz nie znosi to absurdu. Co świadczy o biernej pracy urzędów, które działając tak zapewniają sobie byt nie patrząc czy podatnik posiada dochód czy też nie.

Sprawa ochrony wydawnictw kulturalnych, literatury pięknej niskonakładowej, potrzebującej sponsorowania całkowitym zwolnieniem od Urzędu Skarbowego i zarazem tego intelektualnego jarzma, jest odrębnym, możliwym sposobem rozwiązania sprawy. Ale tylko tych wydawnictw.

Kwota zwolniona od podatku musi mieć wielkość chyba nie najmniejszej (przecież to obywatel i przedsiębiorca), ale średnią krajową, co stanowiłoby podstawę bytową.

Toteż jest rzeczą konieczną każdorazowe odliczenie obywatelowi podstawowego zabezpieczenia, a nie urzędnikowi. Zasada samoasekuracji urzędów jest zasadą przetrwania nich samych. Zakłamanie ustawodawcy jest tak wielkie jak samoistne, subiektywne nieprawdziwe dane, podawane przez większość zmuszanych do tego proceduru podatników. Jest to praktyka od lat obserwowana przez Sztukę Osobową, lecz przez nią nie stosowana.

Jednym słowem ustawodawca musi zapewnić nade wszystko egzystencjalne podstawy bytu obywatela i bytu (np. kolejne

powielenie nakładu czasopisma) przedsiębiorstwa. Co jest podmiotem konstytuującym i przedmiotem prawa. Wprowadzenie prawidłowych, gruntownych ustaw, zapewniających techniczną sprawność Państwa, nie jest kwestią lat ale poważania.

Sztuka Osobowa orzeka: Obecny ciągły stan bezwładu funkcjonowania Państwa-Urzędu zostaje przez redaktora programowego zdefiniowany ostrzegawczą nazwą: Sytuacja jest Stanem Śmierci Państwa. W związku z czym urzędnicy winni w trybie egzekucji zacząć funkcjonować bez wypłacania sobie pensji, a jeśli już to w formie egzekucyjnego zasiłku, aż do zniesienia rygoru przyczyn niesprawiedliwości.

Redaktor programowy
Ryszard Marek Kędziński

Państwo Polskie winno wziąć pod uwagę dobro współczesnej jednostki w kontekście dobra wspólnego, i wprowadzić ustawę o zakazie hybrydzenia ludzi. Idąc za przykładem, tak jak nam wiadomo, niektórych krajów zachodnich.

Cenzura miała jedną właściwość. Trzymała w szachu nomenklaturę partyjną i niedopuszczała opozycji ani żadnego solidnego samostanowienia literatów. Kiedy z chwilą uzyskania Niepodległości Państwa została zniesiona urzędowa cenzura, powstała luka publicystyczna. U podłoża jej są braki przedmiotowe wydawnictw, przede wszystkim dzienników stwarzających równowagę intelektualną: dziennika aktualnej Solidarności, Katolików, literackiego (kulturalnego). Wszystkie pisma kulturalne tygodniowe jakie były zostały rozwiązane. powstały nowe, ale także okupowane większością starej kadry publicystów. Zresztą na

szczęście zaprzestały obciążać naszą kieszeń i się ukazywać. Jedyne średnio, ale postępowy "Tygodnik Literacki" pozostawił po sobie niedosyt. Miesięczniki mamy. Różne. Prócz Sztuki Osobowej, wszystkie pozostałe pozostają właściwie zamknięte, w sposób subiektywny. We własnym kole literatury. Zawierając różnie aktualnych klasyków, jako spoiwo mające insynuować powszechne istnienie kultury. To za mało. Norma jest chyba całkiem chyba prozaiczna - wymaga normalnej choć częściowej, obecności wszystkich. A może się mylę. Tylko kto o tym wie? Miejsca wypełniają nadal skrzętnie znawcy cenzury. Doskonale w biernej ewolucji wykorzystujących przewrotnie podatną grę języka. Lecz gra z ciągłym Ketmanem dla wielu innych także jest jakby tylko możliwa, ponętna. Więc czyżby doszło już do wyrównawczej płaszczyzny, gdzie postkomuniści ciągle będą nas bojkotować, inni zmuszani wewnętrzną cenzurą, także. I w sumie mamy zawieszony poziom życia kultury.

W dniach 6-22.01.1992. w GALERII MIEJSKIEJ we Wrocławiu wystawiono poezję konkretną I.H.Finlay'a. Prace pochodzą ze zbiorów p. St. Dróżdza. Zaprezentowano także esej na słowo i kontrabas - "Żagłowiec Nietzsche", w wykonaniu T. Sławka i B. Mizerskiego.

Sprostowania

PRZEPRASZAMY Jewhena Michnowsky'ego, autora tekstów poetyckich z nr 5. za kilka błędów. I tak w utworze "Rajski poemat" zostały przekreścone dwa wersy. Za nie przepraszamy Autora i Czytelników. Ten b. dobry wiersz zostanie w całości powtórzony, przy okazji kolejnej prezentacji tekstów Naszego Autora.

GALERIA ŚW. MARCINA

zaprasza

we Wrocławiu na Ostrowiu Tumskim

w dni powszednie w godz. 14 - 17

Wszelkie prawa zastrzega: Sztuka Osobowa - ©

Autorzy numeru szóstego: Ks. Mirosław Drzewiecki, Wojciech Izaak Strugała, Michael Krüger, Jan Wadowski, Witold Jerzy Molicki, O. Jan M. Bereza OSB, Ryszard Marek Kędziński

ADRES REDAKCJI:
SZTUKA OSOBOWA
ul. Złocieniowa 3

51-251 WROCŁAW Redaktor programowy: Ryszard M. Kędziński

Wiedz, że wiele wydarzeń jest sterowanych przez ludzi, a Pan Bóg jedynie nad całością czuwa, chociaż to co się zdarza zawiera wszelkie prawdopodobieństwa Zła i Dobra.

PRENUMERATA:

- pojedyncza, za zaliczeniem pocztowym, po uprzednim poinformowaniu redakcji, w cenie - 8.000 zł/egz.
Cena egzemplarza za granicą - 1 dolar USA.

UWAGA REDAKCJI:

SzO przeprasza czytelników przed możliwością pojawienia się błędów mentalnych w tekście.

Redakcja nie zwraca materiałów przyjętych do druku.
Stanowią one archiwum SzO.

Wydawca: APO
Skład: PPHU "MAGIT"
Druk: MP, W-w ul. Wróblewskiego 4.
Numer indeksu: 377635
Nakład 1100 egz.